Miesięcznie 1 zł. 1 egz. 30 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 21 lutego 1937 r. Nr. 8

Srebrzyste płatki śniegu...



Na szarą, mokrą ziemię
Srebrzyste płatki płyną
I lśnią . . .
I drżą . . .
I giną . . .
Na moich marzeń kwiaty
Czyjeś łzy spadły falą
I lśnią . . .
I drżą . . .
I palą . . .

M. Kamecka.

WOJCIECH HOLM

20)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

W kuchni przypatrywał się z przyjemnością czyściutkim naczyniom i radował się na samą myśl o tym, jak tutaj Marta będzie gospodarzyć.

— Dziś po raz ostatni idę do zamku na śniadanie — pomyślał sobie. — Jutro już moja żonka zrobi mi śniadanie.

Zanim jednak poszedł do zamku na śniadanie, udał się jeszcze do ogrodu i uwił piękny bukiet dla narzeczonej. Potem poszedł na śniadanie.

Tutaj kucharz przygotował wszystko na gody weselne. W pokoju klucznicy, skąd wyniesiono łóżko i przybory do prania, stały na stole kwiaty i przepyszne owoce.

Dziś pan kucharz nie miał zostać z dala, jak zwykle od stołu, dla którego sporządzał przysmaki, ale sam miał przy nim zasiadać. Tym goręcej wysilał swoją kulinarną sztukę na najwspanialsze arcydzieła.

Mala tymczasem ubierała siostrę i ze wzruszeniem wkładała jej na głowę wieniec mirtowy, życząc jej błogosławieństwa Bożego.

Marta wzruszona rzuciła się siostrze na szyję.

— Jakaś ty dobra dla mnie. Malo — wołała, łkając — czym ja ci się odwdzięczę. Zdaje mi się, że ten dzień byłby dopiero uroczysty, gdybym mogła zrobić dla ciebie coś dobrego.

— Poczciwe dziecko — odpowiedziała Mala w tonie macierzyńskim, który starsze rodzeństwo tak chętnie przybiera wobec młodszego.

— Nie ma co mówić — mówiła z płaczem Marta — taka jestem biedna. Gdybym ci mogła chociaż coś podarować.

— Jeśli mi koniecznie chcesz zrobić prezent — odpowiedziała Mala z dziwnym błyskiem w oczach — to daj mi ten obraz, którym ten malarz tak skompromitował naszą hrabiankę.

— Ależ z przyjemnością — zawołała Marta zadowolona. Wyciągnęła z szafki rulon dobrze opakowany i oddała go siostrze, ciesząc się, że mimo swego ubóstwa, może jej jednak czymś sprawić przyjemność. Mala ucałowała ją.

— Dobre dziecko — pomyślała sobie — każda inna spytałaby: na co ci to? Ona daje, nie pytając. Jeżeli Egon ożeni się z tą kobietą, sprawię mu tylko obrazem miłą niespodziankę.

W tej chwili twarz jej przybrała wyraz bardzo niemiły.

Marta nie zauważyła tego, bo zobaczyła przez okno narzeczonego idącego do niej.

W ręku niósł bukiet białych róż. Czarny jego surdut był ozdobiony mirtem.

— Boże! on już idzie, a tyś jeszcze nie ubrana.

— Prędzej moja złota, już masz tylko pół godziny czasu.

— Wystarczy — odpowiedziała Mala z uśmiechem — on już idzie, więc ja ci nie będę potrzebna. Do widzenia!



Z okazji koronacji króla angielskiego, mającej odbyć się w maju rb., wydała mennica brytyjska szereg medali bitych z srebra, złota i bronzu. Na jednej stronie medalu uwidoczniony jest portret króla, na drugiej zaś królowej. Inny rodzaj medalu, który przedstawia powyższe zdjęcie, ukazuje portret pary królewskiej.

Pocałowała ją i odeszła lekkim, szybkim krokiem.

Fichtner wszedłszy do pokoju, z zachwytem patrzał na narzeczoną, której w ślubnym stroju było bardzo do twarzy.

Szeptał jej tysiące czułych słówek i tak zeszedł im czas aż do chwili, w której musieli udać się do urzędu. Stamtąd pojechali do kościoła, w którym zebrało się pół wsi ciekawych.

Piękność panny młodej i piękny strój jej, budziły powszechne zdumienie.

Ale, że ten Fichtner wziął taką biedną dziewczynę. To mi się nie może w głowie pomieścić. Ja nie brałbym takiej, co była w służbie. On mógł wyżej sięgnąć, gdyby miał tylko odwagę!

Młynarka miała córkę, którą byłaby chętnie wydała za Fichtnera i nie mogła mu tego przebaczyć, że nie poznał się na licznych w tym kierunku aluzjach.

— Dlaczego biedna dziewczyna nie ma wyjść za mąż? — dorzuciła druga kumoszka. — Marta była uczciwą dziewczyną, czego nie można powiedzieć o niejednej z bogatszych dziewcząt.

Był to dobrze wymierzony cios w stronę młynarki, której córka miłostkami swoimi dawała temat do gadania całej okolicy.

Wkrótce ukazał się ksiądz, który w przemowie długiej i wzruszającej, chwalił przymioty duszy panny młodej:

— Wybrałeś dobrze — rzekł, zwracając się do narzeczonego — nie przywiązywałeś wagi do znikomych skarbów doczesnych, które zjadają mole i rdza, a szukałaś cenniejszych lecz trwalszych klejnotów. Pan Bóg wynagrodzi ci szlachetne uczucie czystej, bezinteresownej miłości i pobłogosławi.

Marta płakała cicho.

— Szkoda, że mama nie dożyła tej radosnej chwili — pomyślała sobie — jakże, by się biedna cieszyła, widząc mnie tak szczęśliwą!

Fichtner wzruszony patrzył na nią i przysięgał, że te łzy będą ostatnimi łzami jego żony.

Młynarka zaś, za złe wzięła księdzu że się tak rozwodzi nad ubogą dziewczyną, która ani centa posagu nie przynosi swemu mężowi.

Co zostanie dla bogatej dziewczyny gospodarskiej, jeżeli taka biedna sługa, ma taką mowę ślubną. — myślała z gniewem. — Ale ostatecznie ksiądz jest także mężczyzną, a oni wszyscy dla ładnej gęby, Bóg wie co robią.

Gdy tak żona młynarza oburzała się w duchu, kapłan błogosławił młodej parze, a organy hucznie oznajmiały światu o zaślubinach.

Po uroczystym ślubie, nastąpiła wesoła uczta, z której dobrze po północy Fichtner zaprowadził żonę do domu.

Marta zachwycała się swym domostwem.

— Małe, ale własne — mówił Fichtner — przynajmniej jesteś na swoich śmieciach i nie potrzebujesz znosić kaprysów żadnej pani. A teraz chodź dalej i zobacz sobie resztę mieszkania.

Za oknem miały gniazdko jaskółki. Jedna z nich cierpiała na bezsenność i słyszała przez całą noc czułe szepty i gawędy. Jeżeli to tak dalej będzie — pomyślała — to będę się musiała wyprowadzić. Nawet w nocy nie dają mi spokoju.

Jaskółka bardzo za złe miała Fichnerowi, że się ożenił bez jej zezwolenia.

ROZDZIAŁ LXIX.

Chatka nad wodospadem.

Ilona i Alojzy sprzeczali się o to, co zrobić z Wernerem.

Ilona twierdziła uparcie, że można mu zdjąć więzy, Alojzy sprzeciwiał się temu stanowczo.

Uderzyło go żywe zajęcie się cyganki więźniem i to obudziło w nim szaloną zazdrość! Chwycił ją za ramię i krzyknął:

— Mnie się zdaje, że ty mnie chcesz oszukać, dziewczyno! Pożałowałabyś tego gorzko! Pokaż no mi oczy!

Ilona wyrwała się z gniewem.

Zwariowałeś? — zawołała — jakżeż cię mogę oszukiwać. Myślisz, że cię chcę zdradzić Herbertom? Po cóż bym cię w takim razie przestrzegała przed nimi?

Żeby cię przestrzec leciałam od nich do ciebie na złamanie karku, a ty tak mi się odwdzięczasz? Poczekasz teraz, zanim ci znowu coś zrobię.

— Jeżeli ci chodzi o mnie — odpowiedział Alojzy trochę uspokojony — to czemu tak gorąco go bronisz?

— Durniu jakiś — syknęła mu w odpowiedzi — czy myślisz, że jeżeli hrabia się udusi, wydostaniesz centa od barona? On jest fałszywy jak szubienicznik i figę ci da, nie pieniądze.

Kasztelan był tego samego zdania i to przekonało go ostatecznie.

— A widzisz — mówiła Ilona dalej — musisz mi przyznać rację, więc czego się wściekasz, jak postrzelony niedźwiedź?

— Bo nie ma racji w tym co mówisz, — odciął jej ponuro. — Jeżelibym hrabiemu wyjął teraz chustkę z ust, tokażdy przechodzień mógłby krzyk jego usłyszeć i bylibyśmy wkrótce zdradzeni.

Co do tego możnaby przecież zachować ostrożność — objaśniła cyganka. — Gdy teraz do niego pójdę, aby mu chustkę z ust wyjąć, to go ochronię

od uduszenia. Ty tymczasem możesz stać na straży.

Widzisz stąd daleko, więc gdy zobaczysz kogo zbliżającego się do zamku, dasz mi znany nasz sygnał. Skoro go tylko usłyszę, zaknebluję mu znów usta.

— Ale czy ci się to uda? — zapytał z powątpiewaniem.

Ilona zaśmiała się głośno i przeciągle.

— Co? — szydziła — ja nie miałabym sobie dać rady z człowiekiem, który ma związane ręce i nogi? Przecież dwuletnie dziecko potrafiłoby go pokonać!

Ale jak nie będziesz ostrożną i nie usłyszysz mego sygnału? — nudził dalej niezdecydowany.

— Czemu miałabym nie uważać! — krzyknęła Ilona gniewnie — nie mów że mną w tym sensie, jakbym nie była przy zdrowych zmysłach! Nim ty się namyślisz, może się stać nieszczęście, a ty sam wszystkiemu będziesz winien!

— Idź więc do licha, jeśli ci na tym tak zależy! — odpowiedział kasztelan gburowato — ale ci z góry mówię, że cię w drewutni zamknę.

— To rozumie się samo przez się — odrzekła obojętnie.

— Chodź więc! — zawołał.

— Daj mi trochę wina — prosiła go, przytulając się do niego.

— W szafie kuchennej stoi dzban z winem, weź sobie z niego, ile chcesz — odrzekł.

Ilona pospieszyła do kuchni, napełniła blaszaną kwartę do połowy lodowo - zimną wodą, potem dodała wina i niosąc naczynie ostrożnie w prawej ręce, wyszła na podwórze zamkowe.

— A to co? — spytał Alojzy zwięźle i szorstko — myślałem, że ty sama chcesz pić.

— On z pewnością będzie na pół omdlały — odpowiedziała spokojnie. Może mu uratuję życie tym napojem. Nie zapominaj Alojzy, jak wysoką wartość życie jego ma dla ciebie!

Ostatnia uwaga, którą dodała z prawdziwie kobiecą przebiegłością, uspokoiła kasztelana.

Dał jej więc wolność działania.

Otworzył drzwi od drewutni i uczynność swoją posunął tak daleko, że pomógł cygance usunąć wiązki chrustu, które tworząc ścianę, zakrywały więźnia.

Skoro tylko zapora została usunięta, podbiegła Ilona ku więźniowi.

Odkrywszy koc zobaczyła z przerażeniem, że Werner leżał na ziemi z zamkniętymi oczyma i zupełnie nieruchomy.

Drżącą ręką wyjęła chusteczkę z ust nieszczęśliwego męczennika i następnie pokropiła bladą jego twarz wodą z winem, którą w kwarcie przyniosła, natarła mu ręce, poczym z bezgraniczną trwogą spróbowała wlać mu w usta trochę wody. Nie udało jej się to jednak.

Teraz przerażenie jej zmieniło się w szał.

Rzuciła się na nieprzytomnego więźnia i zaczęła twarz jego okrywać pocałunkami i gorącymi łzami.



Nad brzegami Portugalii szalał w ostatnich dniach silny wiatr, który spowodował liczne ofiary w ludziach i wyrządził znaczne szkody materialne, m. in. 34 okrętów większych i mniejszych zostało rzuconych na skały. Zdjęcie nasze przedstawia fragment wyrządzonych wskutek tego szkód.

— Biada mi nieszczęśliwej — jęczała — zamordowałam człowieka, którego kocham więcej, niż własne życie. Cóżbym teraz dała za to, gdybym go mogła do życia przywrócić.

W chwili tej skrucha jej była głęboka i prawdziwa, ale to lepsze, szlachetniejsze uczucie ustąpiło szybko, bo zaraz potem otworzył nieszczęśliwy hrabia oczy i jęknął:

— Słyszałem głos Sylwii, gdzież ona?

Zobaczywszy obok siebie cygankę, dodał z widoczną niechęcią:

— Ty tutaj? Twoja obecność nic mi dobrego nie wróży. Ty przysięgłaś mi zemstę. To z pewnością ty doniosłaś Alojzemu, że narzeczona moja wybiera się do zamku Felseg i moje uwolnienie uniemożliwiłaś.

— Czynisz mi niesłuszne wyrzuty, panie hrabio — łasiła się Ilona. — Wziąłeś czcze słowa, które w największej złości wymówiłam, za dobrą monetę. Wierzaj mi, że ci jak najlepiej życzę! Masz, napij się, winny napój wzmocni cię i orzeźwi. Bierz i pij bez żadnego podejrzenia.

Hrabia Werner był bliski omdlenia i wychylił naczynie do dna, a Ilona oparła głowę jego czule na swej piersi. Chciała go wziąć w swe ramiona, ale on rzekł do niej pogardliwie:

— Jestem skrępowany i dlatego muszę znosić twoje czułości tak samo, jakbym musiał znieść baty, ale przysięgam ci, dziewczyno, że pocałunek twój znieważa mnie tak samo, jak gdybyś mnie w twarz uderzyła.

Nie mógł już Ilony obrazić głębiej i śmiertelniej.

Piękne jej policzki zblakły z dzikiej wściekłości, z oczu jej leciały iskry. Szorstko odepchnęła od siebie ciało uwięzionego hrabiego, którego dopiero przed chwilą tuliła do łona, a z ust jej z tych samych ust, które przed chwilą szukały przenikliwie ust pięknego mężczyzny, sypały się teraz dzikie przekleństwa i złorzeczenia.

— Tak, teraz okazujesz mi się w swojej prawdziwej postaci — rzekł Werner lekceważąco. — I dla takiej kobiety miałbym sprzeniewierzyć się mojej anielskiej dziewczynie? To byłoby tak, jak gdybym odrzucił diament, a w miejsce jego wziął szklany czerep.

— Strzeż się, panie hrabio! — syczała Ilona — bo bardzo łatwo tak stać się może, że ten wzgardzony czerep szklany przetnie ci żyły.

— Zrób mi tyle złego, ile ci się podoba — krzyknął Werner — czy sądzisz, że ja mógłbym się tak dalece poniżyć, aby osobę twego pokroju o łaskę prosić? Nigdy! Przenigdy!

Rzuciła się ku niemu, jak gdyby go chciała udusić, ale opamiętała się i skrzyżowała ręce na piersi, które podnosiły się gwałtownie.

— Tego pan pożałuje — odrzekła. — Wzgardziłeś pan mną wtedy, gdym jeszcze na największy twój szacunek zasługiwała. Zdeptałeś pan moją miłość! Ślubuję sobie przeto: Musisz pan mnie jeszcze na klęczkach o to prosić, abym została twoją żoną.

Werner odpowiedział jej na to tylko wzrokiem, w którym przebijały się pogarda i wstręt.

Ilona uczuła straszną, zbierającą się jej w piersiach nienawiść przeciwko niemu. Ale dziwnym jest serce kobiece: jedno ciepłe spojrzenie, jedno mile słowo z ust Wernera wystarczyłoby, aby zmienić jej nienawiść w gorącą, dawną ku niemu miłość.

Ale Werner nie poniżył się tak dalece, aby jej dać uprzejme słowo.

Widział w niej najzaciętszą swoją nieprzyjaciółkę, a był zanadto otwarty, aby ukrywać swoje dla niej uczucia nienawiści.

Aby nie widzieć Ilony, która mu mimo swej piękności była wstrętną, przymknął oczy.

Uczuł okropne fizyczne i duchowe zmęczenie. Zapadł w głęboki sen.



Corocznie odbywają się w pierwszą niedzielę lutego w ratuszu przedmieścia paryskiego St. Denis śluby młodych dziewcząt, które dzięki solidnemu prowadzeniu się uzyskały tytuł „królowych cnoty". Zwyczaj ten sięga 16-go wieku. Na zdjęciu widzimy trzy pary, sfotografowane w ratuszu w St. Denis.

Ponuro spoglądała młoda cyganka na piękne rysy śpiącego.

— On jednak musi być moim — szepnęła do siebie.

Zrobiło się późno i noc zaczęła zapadać, a Alojzy się nie pokazywał.

Wreszcie około północy wszedł do drewutni.

— Zasnął. — rzekła Ilona, wskazując palcem na więźnia.

— Tym lepiej — rzekł Alojzy — pomóż mi teraz wynieść go stąd.

— Dokąd? — spytała cyganka, nie ruszając się z miejsca.

— Do starej, zapadłej chaty nad wodospadem — odrzekł.

— A przyjezdni? — odpowiedziała cyganka trwożliwie.

— W październiku nie jest już tak źle z przejezdnymi — odpowiedział Alojzy — a wreszcie unikają ją teraz od kiedy ów Anglik, a wkrótce później jakaś węgierska hrabina, tam zginęli. Teraz w jesieni, dojazd tam jest tak niebezpieczny i śliski, że nikt się nie zechce narazić na skręcenie nóg lub rąk.

— Jeśli tak jest rzeczywiście, to jak go tam przetransportujemy? — pytała cyganka.

— Czy chcesz być rozsądną i nie paplać? — pytał kasztelan.

— Nie zdradzę cię ani jednym słowem — zapewniała.

— Więc pokażę ci wygodną, ładną drogę, prowadzącą do wodospadu, którą prócz mnie nie zna nikt, z wyjątkiem przewodników.

— A dlaczegoż oni nie prowadzą podróżnych tą wygodną drogą do wodospadu? badała Ilona ze zdziwieniem.

— Jakaś ty głupia — tłumaczył jej Alojzy — po tak gładkiej drodze nie potrzebowaliby podróżni przewodników i tak ci ostatni straciliby zarobek, gdyby byli na tyle nieostrożni, aby zdradzić ten dobry przystęp do wodospadu.

Pięknej cygance przemówiły słowa Alojzego do przekonania.

— Pokaż mi tę drogę — prosiła.

Alojzy przystąpił do pobliskiej skały i uchylił bardzo gęste zarośla, pod którymi spostrzegła Ilona wąską, wijącą się ścieżkę.

Najpierw musimy zanieść tam wózek, a potem dopiero przenieść hrabiego tu i położyć go na wózek. Ale czy ty to potrafisz?

Potwierdziła skinieniem głowy, a później spojrzała na wózek.

— Już jest pełny — rzekła — tu nie ma miejsca dla hrabiego.

— Znajdzie się miejsce i dla niego! — rzekł Alojzy.

Popchnął wózek na brzeg skały, podczas gdy cyganka odchylała gałęzie krzaków, tak że Alojzy mógł przejechać z wózkiem.

Gdy go już szczęśliwie sprowadził na ścieżkę, wrócił z Iloną do drewutni.

Hrabia leżał jeszcze na kocu pogrążony w głębokim śnie.

Ostrożnie podnieśli go spiskowcy wspólnymi siłami razem z kocem i unieśli z trudem na wózku.

Gdy go tam złożyli, spytała Ilona, sapiąc i ocierając pot z czoła:

— Dlaczegoś go razem z wózkiem nie przewiózł przez tę gęstwinę?

— Bo to byłoby za ciężko — mruknął Alojzy — pod tak ogromnym ciężarem połamałyby się wszystkie krzaki. Sam wózek mogłem podnieść, a gdyby hrabia był na nim, nie byłoby mi się to udało.

— A co to są za rzeczy na wózku? — zapytała dalej.

— Wszystko, co do życia potrzebne — odrzekł — a prócz tego jeszcze żelazne kajdany, aby przykuć naszego ptaszka, i duża kłódka, którą zamknę chatę na zewnątrz, aby przeszkodzić wtargnięciu obcych natrętów, gdy nas tam nie będzie.

— A jak będzie krzyczał? — spytała Ilona, patrząc na nieszczęśliwą ofiarę.

— Może krzyczeć ile mu się podoba — odparł Alojzy. — Szum i odgłos wodospadu zagłuszy najsilniejszy głos ludzki. Wiesz przecież sama, że w pobliżu wodospadu można się porozumiewać tylko za pomocą znaków. Dlatego wybrałem to miejsce. Dawniej była tu zwierzyna, ale teraz i tego nawet nie ma, tak, że i strzelcy nie przychodzą tam więcej. Myślałem długo nad tym, dokąd wywieźć hrabiego, ale nie mogłem wybrać lepszego, stosowniejszego miejsca. Jeżeli znasz lepsze, to powiedz.

— Nie, nie znam rzeczywiście lepszego — rzekła Ilona — wybrałeś bardzo dobre.

Trzęsienie wózka zbudziło nieszczęśliwego hrabiego z chorobliwego snu, w który popadł. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą miliony błyszczących gwiazd, odbijających się na ciemnym sklepieniu nieba.

— Tam na górze jest świat Boży — myślał Werner. — Wszechmocny widzi moją bezgraniczną nędzę i wybawi mnie z niej na pewno.

Myśl ta dodała odwagi i pociechy umęczonemu sercu biednego człowieka. Zaczął wołać o pomoc.

— Proszę się nie wysilać niepotrzebnie, panie hrabio — szydził Alojzy nielitościwie — tu nie usłyszy cię żadne ucho ludzkie. Orły i sępy ci nie pomogą.

Ale Werner nie dał się przekonać i krzyczał bez przerwy:

— Na pomoc! Na pomoc!

— Jak się panu podoba, panie hrabio — drwił sobie Alojzy niemiłosiernie. — Jesteś panem swojej woli i możesz wołać, ile ci się tylko podoba, ale zapewniam cię, że nadużywasz płuc swych daremnie. Czyż myślisz, że nie byłbym ci dawno zakneblował usta, gdybym mógł przypuszczać, że wołanie twoje może ktoś usłyszeć?

Ale nieszczęśliwy chwycił się z rozpaczą tej ostatniej nadziei i krzyczał w niebogłosy. Wrzask jego tak rozwścieklił kasztelana, że mu znowu zakneblował usta.

— Tak — rzekł ostro — teraz mu odejdzie chęć do krzyku. Jak chciał, tak ma.

Zdala szumiał i huczał wodospad.

— Stara ta chata musi być okropną — zauważyła Ilona — nie wytrzyma on w niej długo.

— Zostanie on tam tak długo, dopóki nie wykurzymy panny Sylwii, tej szalonej dziewczyny, z naszej okolicy — zapewniał kasztelan. — Gdy jej się pozbędziemy, będziemy mieli spokój, a wtedy będzie go można trzymać w więzieniu podziemnym.

— Jakim sposobem chciałbyś Sylwię stąd wydalić? — pytała cyganka ciekawie.

— Jakim sposobem? — powtórzył kasztelan niechętnie, — tego sam jeszcze dokładnie nie wiem. Nie jestem na tyle mądrym. W tym musi mi pomóc sam baron.

Ostatnie słowa musiał mówić już bardzo głośno, bo zbliżali się coraz bardziej

do wodospadu, którego huk i szum uniemożliwiał porozumiewanie się.

Wreszcie dojechali złoczyńcy do chatki, która była celem ich nocnej wyprawy.

Ilona wskazała ręką na niski dach tej zapadłej budy.

Był on już w wielu miejscach uszkodzony.

Kasztelan spojrzał na skarłowaciałe, krzywe sosny, rosnące koło chatki. Pomyślał, iż gałęziami drzew tych załata dziury w dachu.

Pochyłe drzwi chatki były tylko przymknięte.

Alojzy potrącił je nogą i wspólnicy zbrodni weszli do ciasnej, ciemnej izby.

Kasztelan wyjął pudełko zapałek z kieszeni i zaświecił jedną.

Przy słabym blasku zapałki zobaczyła Ilona, że na dużych kamieniach, tworzących bardzo prymitywną kuchenkę, leżała wiązka chrustu.

Kasztelan podpalił chrust i czerwona łuna oświeciła izbę.

Chatka ta musiała być schroniskiem różnego rodzaju hołoty, która obawiała się światła dziennego, bo wskazywały na to wyraźne ślady.

W jednym kącie była nagromadzona kupa zeschłego liścia, a obok pieca stał duży kamienny dzban, podziurawiona żelazna brytwanna i zasmolony garnek.

Alojzy dał towarzyszce swój znak, aby wróciła razem z nim do wózka.

Milcząc, podążyła cyganka za nim i z jej to pomocą udało się Alojzemu sprowadzić spętanego hrabiego do chatki.

Położyli go na zeschłych liściach, które mu miały służyć za łoże.

Ilona wyjęła mu kołek z ust, a Alojzy zajął się ogniem.

Nieszczęśliwy hrabia nie wiedział z początku, co kasztelan tam robi, ale domyślił się, o co mu chodziło, gdy zobaczył, że Alojzy przywiózł żelazny łańcuch, i przymocował za pomocą młota jeden koniec tego łańcucha do ściany.

— Chce mnie okuć w kajdany, jak zbrodniarza! — krzyknął hrabia przerażony i mimo, że głośny wodospad słowa jego przygłuszył, poznać było można po rozpaczliwym wyrazie jego twarzy, jak bardzo cierpiał.

Mniej twarde serce wzruszyłoby się niewymownym cierpieniem, odbijającym się na twarzy uwięzionego. Alojzy jednak nie odczuwał najmniejszej litości. Przykuł drugi koniec łańcucha do jego prawej ręki i potem dopiero zwolnił mocny sznur, którym ręce jego były spętane, nogi zaś zostawił związane.

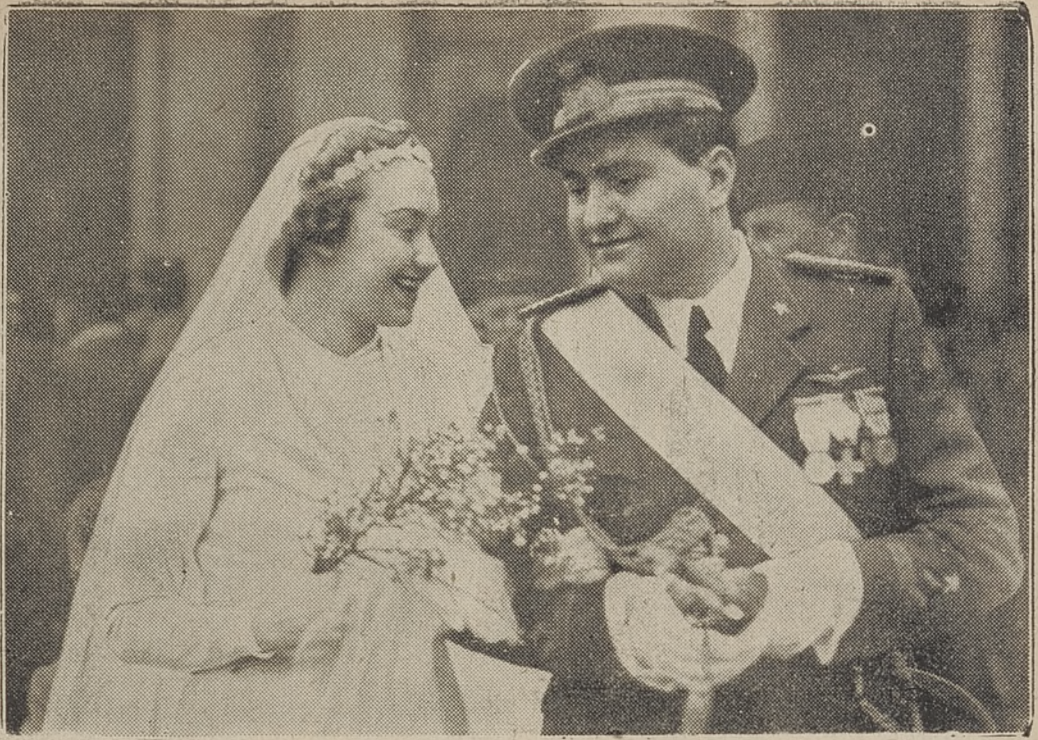
Następnie poznosiła do chatki wszystkie rzeczy z wózka i dała Alojzemu znak, że dla niej najwyższy czas wrócić do domu.

Skinął potakująco.

Ilona przykryła jeszcze więźnia wełnianym kocem, poczym z Alojzym wyszli z chaty.

Alojzy zamknął drzwi chatki na kłódkę, a kluczyk schował pod duży kamień, leżący obok chaty.

Poczym zaprzęgnął się do wózka i w towarzystwie Ilony opuścił straszne miejsce.



Na zdjęciu syn Mussoliniego Wiktor w drodze do kościoła. Jak wiadomo, młody Mussolini ożenił się z mieszkanką Mediolanu Urszulą Buvoli.

Chrust w chacie dopalał się długo jeszcze słabym płomieniem, wreszcie zgasł zupełnie, a Werner został w ciemności oddany na pastwę rozpaczy i bólu.

ROZDZIAŁ LXX.

Przerwana schadzka

Leon opuścił pospiesznie dom, w którym znalazł żonę swoją w objęciach innego mężczyzny, ale odkrycie to nie rozłościło go; przeciwnie, napełniło pewnego rodzaju tryumfem.

Teraz bowiem sumienie nie dręczyło go więcej, skoro dowiedział się, że Hortensja umiała się też pocieszyć.

Ta Hortensja — myślał z goryczą — na którą on zawsze patrzył, jak na niewinnego anioła, dała się tak prędko uwieść pokusom życia!

Nie przyszło mu wcale na myśl, że wyrządził krzywdę niewinnej kobiecie i przyjemnie mu było pomyśleć, że i ona ze swej strony zawiniła przeciwko niemu.

Nie myśląc już więcej o niej, zaczął marzyć o czarodziejce, która go teraz zupełnie miała w swojej władzy.

Było już późno, gdy baronowa zaczęła nalegać, aby się Leon oddalił, obiecywawszy mu na pocieszenie schadzkę nazajutrz rano.

Uważała ona bardzo na zachowanie dobrej reputacji w świecie i dlatego nie odważyła się zaprosić kochanka swego na oficjalne przyjęcie.

Dała mu tylko mały kluczyk, otwierający boczną furtkę do jej ogrodu i obierała, że będzie na niego czekała w pawilonie na samym końcu ogrodu.

Z niecierpliwością oczekiwał Leon godziny, w której miał Lolę znów zobaczyć.

Był zanadto rozgorączkowany, aby mógł myśleć o przespaniu nocy i dlatego wszedł do winiarni.

Siadł tam w kącie, z którego ledwo widać go było i wypróżniał powoli jedną flaszkę po drugiej, marząc o błogich chwilach, które już przeżył i o rozkoszy, którą obiecywała mu przyszłość.

Gdy poczęło świtać, opuścił Leon dopiero lokal i poszedł w stronę Prateru, aby spacerem w chłodny poranek jesienny uspokoić rozdrażnione zmysły.

Prater jeszcze był pusty i tylko tu i ówdzie można było zobaczyć jakąś samotną postać.

Nagle zobaczył jakąś czułą parę.

Uśmiechnął się szyderczo na ich widok, bo mu się zdawało, że prócz baronowej Loli, żadna kobieta na świecie nie jest w stanie kochać i uszczęśliwiać swoją miłością.

Czas posuwał się szybko dalej.

Leon odświeżył się kąpielą i ubrał starannie.

Potem poszedł powoli w stronę willi baronowej Wimpfen, lecz było jeszcze zawcześnie, aby wejść.

Po krótkim szukaniu znalazł furteczkę i otworzył ją z łatwością, która nasuwała przypuszczenie, że furtka była często używana.

Leon był tak zdenerwowany, że nie przyszło mu to na myśl.

Ostrożnie zamknął furteczkę znów na klucz i wszedł do ogrodu.

Wśród drzew ogołoconych z liści zobaczył szybko pawilon i podążył w jego stronę z pośpiechem i niecierpliwością.

Pawilon ten musiał być już dłuższy czas nieużywany i tak gęsto był obrośnięty poowjem, że okno i drzwi były zupełnie nim zasłonięte. Okiennice zewnątrz również były zamknięte, co podnosiło jeszcze więcej wrażenie opuszczenia.

Ale Leona to nieodstraszało. Odsunął gałęzie powoju, które mu przeszkadzały u wejścia i dotarł do wnętrza, otworzywszy sobie drzwi pawilonu tym samym kluczem, co furtkę.

Lekki okrzyk podziwu wyrwał się z ust jego, bo we wnętrzu pawilonu, nie było ani cienia tego zaniedbania, któ-



W Willesden, miejscowości położonej przy głównej arterii ruchu, prowadzącej do Londynu, ludność urządziła manifestację, ustalającą normę najwyższej szybkości. W manifestacji wzięli udział burmistrz i burmistrzowa, która niosła — jak pokazuje nasza ilustracja — szyld, którego napis brzmi następująco: „Lepiej 1 minutę później na tym świecie, niż 25 lat za wcześnie na tamtym".

re go z zewnątrz charakteryzowało. Kilka szyb z różnego szkła osadzonych w kopule przepuszczało przyćmione, różowawe światło.

Ściany pokryte były białymi, srebrem tkanymi tapetami z ciężkiego jedwabiu. Kilka otomanek z jednej materji, kilka pięknych marmurowych statuetek po kątach, które w różowym świetle nabierały życia, stanowiły całe umeblowanie. Całość zaś miała w odosobnieniu swym bajeczny urok.

Baronowej jeszcze nie było, a Leon oglądał cudny ten zakątek.

Nagle drzwi się uchyliły, Leon odwrócił się i zobaczył kochankę stojącą przed nim.

Z okrzykiem radości pochwycił ją w ramiona i począł gorąco całować.

Wreszcie udało się baronowej wywinąć z jego objęć, ale wcale za jego zuchwałość się nie gniewała, bo uśmiech, którym go odbarzała, był czuły i rozpromieniony.

— Ty dzikusie — wołała żartobliwie — nie dajesz mi nawet czasu, abym zdjęła zarzutkę, którą mnie Frania troskliwie otuliła. Była ona dość zdziwiona, moim rannym spacerem, a Anastazja ofiarowywała mi swoje towarzystwo. Z trudnością wymówiła się od tego. Czy żałujesz, żem jej nie przyprowadziła? — dodała kokieteryjnie.

Leon odpowiedział na to nowymi pocałunkami.

Tymczasem Lola zdjęła płaszcz i koronkową chusteczkę z głowy i ukazała się w kosztownym negliżu z cienkiej, białej materji.

Leon spoglądał na nią z niemym zachwytem.

— Czy ty mnie naprawdę kochasz? Powiedz mi najdroższy, jak bardzo mnie kochasz? — pytała, zadowolona z jego podziwu.

— Bardzo gorąco, nade wszystko! — odpowiedział Leon z odcieniem ponurej powagi, która jednak prędko znikła.

— Tak bardzo, że dla ciebie zerwałem z całą moją przeszłością, że tylko dla ciebie chę żyć i dla ciebie umierać.

— Tak tragicznie — żartowała baronowa, której powaga Leona zaczęła się nie podobać. — Masz minę „Don Carlosa" albo „Hamleta" na scenie. Oddalmy powagę i będziemy żyć radością. Chodź i powiedz mi teraz wśród pocałunków, jak mnie kochasz.

Podobne wezwanie z pięknych ust nigdy nie mija bez skutku.

Leon objął też namiętnie zwodniczą kobietę i całując ją, zapomniał o całym świecie.

Czuła para tak pogrążona była w swojem szczęściu, że nie słyszała nawet, jak otworzyły się drzwi.

Przestraszeni, zerwali się oboje z miejsca, gdy wysoka, dumna postać księcia Iffalwi, stanęła nagle przed nimi.

Na pięknej twarzy księcia odbijało się bezgraniczne szyderstwo i gorzka pogarda, gdy spojrzał na kochającą się parę i z niedbałością, kontrastującą bardzo ze zwykłą jego galanterją, zwrócił się do baronowej:

— Cieszę się bardzo, pani baronowo, że panią tu samą zastaję, bo muszę koniecznie pomówić z panią w cztery oczy. Odszukałem panią w tym pawilonie, nie dlatego, aby obsypywać panią czułościami, jak za dawnych, dobrych czasów, lecz po to, by z panią poważnie pomówić.

Drżąc ze złości, słuchał Leon mowy dumnego arystokraty, który go ignorował, jak gdyby był powietrzem, a baronową traktował z bezgranicznym lekceważeniem.

— Mój panie — zwrócił się Leon do księcia z wściekłości — opanuj się pan trochę w swoich powiedzeniach. Ta dama znajduje się pod moją opieką.

Spojrzenie, pełne wyniosłości, spod pół przymkniętych powiek dumnego księcia, było jedyną odpowiedzią, którą Leon otrzymał.

Następnie książę Bela Iffalwi zwrócił się znowu do swej kochanki.

— Pani baronowo — rzekł z zimną uprzejmością — powinna pani służbę swoją trzymać w większym rygorze. Ten młody człowiek, rządca czy pisarz pani, jest bezprzykładnie bezczelny. Zepsuła go pani zanadto swoją dobrocią — dodał szyderczo.

— Panie! — krzyknął Leon — żądam zadośćuczynienia za te słowa!

Teraz dopiero zwrócił książę na niego swą uwagę.

— Kto pan jesteś i czego żądasz? — spytał, przeciągle mierząc okiem Leona od stóp do głowy.

— Jestem słuchaczem praw, pochodzę z poważnej rodziny mieszczańskiej — krzyknął Waldeau — i żądam satysfakcji za obelgę wyrządzoną tej damie i mnie.

— Może pan żądać, co się panu podoba — ale żądanie pańskie nie zostanie uwzględnione. Biję się tylko z równymi sobie.

— To zmuszę pana do dania mi satysfakcji! — krzyczał, tracąc panowanie nad sobą.

Chciał się rzucić na swego przeciwnika, ale baronowa padła mu w ramiona.

— Na miłość Boską, — szeptała namiętnie — czy chcesz mnie na zawsze skompromitować? Czy chcesz wywołać skandal? Jeżeli mnie kochasz, to milcz! Moja miłość wynagrodzi ci wszystko, co teraz cierpisz.

Słowa te rozbroiły Leona. Mierzył wprawdzie jeszcze swego przeciwnika ponurym wzrokiem, ale nie porwał się na niego więcej.

Oparty o ścianę pawilonu, patrzył z z założonymi rękoma na stojące przed nim osoby, przypatrując się ponuro dalszemu przebiegowi sceny.

Z pewnością siebie i spokojem, dziwnym wśród tych okoliczności, zwróciła się baronowa do księcia:

— Znalezienie się pana, książę Iffalvi, jest dla mnie zupełnie niezrozumiałym! Zachowuje się pan, jak gdybyś był conajmniej moim mężem! Co pana upoważnia do takiego postępowania? Co pana upoważnia do wtargnięcia tu? Stosunki między nami były w ostatnim czasie prawie zerwane; jako człowiek taktowny i delikatny powinien pan o wszystkiem zapomnieć i milczeć.

— Na przyszłość wezmę sobie do serca dobre rady pani, baronowo — odparł Iffalvi z ironiczną grzecznością. Jeśli tym razem byłem natrętnym, to stało się to li tylko z bardzo prostej ciekawości zobaczenia mego szczęśliwego następcy. Co zaś do mej dyskrecji, proszę być spokojną, baronowo. Jestem zbyt rycerskim, aby skompromitować damę, której zawdzięczam tyle przyjemnych chwil. Proponuję nawet: bądźmy przyjaciółmi i spodziewam się, że szczerymi. Odeślę pani dziś jeszcze klucz od bocznej furtki, będzie go pani pewno dla kogo innego potrzebowała. Tylko dziś jeszcze go użyję, aby ogród opuścić. Bądź zdrowa i szczęśliwa, baronowo!

Szyderczy ton, w którym słowa te wymówił, nadawał dziwne znaczenie, tym pozornie uprzejmym słowom.

Następnie zwrócił się Iffalvi do Leona i rzekł ostro:

— Skoro okazujesz pan takie zamiłowanie do rzeczy, które ja na bok odkładam, to może mogę panu zaofiarować kilka starych surdutów? Czy chce je pan sam odebrać, czy mam je panu do domu odesłać?

Blady jak ściana, rzucił się Leon na księcia, aby uderzeniem w twarz zemścić się na tym bezczelnym człowieku, za doznaną obrazę.

Ale baronowa nie dopuściła do tego, rzuciwszy mu się w ramiona. Gdy się Leon z objęć jej uwolnił, Iffalvi'ego już nie było.

Leon chciał podbiec za nim, lecz Lola błagała go, aby został i nie pogrążał siebie i ją w nieszczęście, tak, że prośbie jej zadość uczynił.

Lecz nie mógł po wszystkiem, co zaszło, zbliżyć się do baronowej z dawną czułością. Rzucił się gniewnie w ten kąt otomany, milczał ponuro i znosił pieszczoty Loli biernie, nie odpowiadając na nie.

— Co ci jest? — spytała wreszcie piękna kobieta rozdrażniona. — Wygląda to tak, jakbyś był zazdrosny o moją przeszłość. Jak możesz być tak głupim? Moją dewizą jest: Niech żyje teraźniejszość! Przeszłość jest dla mnie pogrzebaną, a o przyszłości jeszcze nie myślę. To jest prawdziwa filozofia życiowa, której się musisz ode mnie nauczyć!

Gdy jednak na to odpowiedzi nie otrzymała, odezwała się do niego pół drwiąco:

— Czy zawsze się jeszcze gniewasz na mnie za to, że nie jesteś moją pierwszą miłością? Jakie to dziecinne! Od smarkatej pensjonarki mógłbyś żądać, aby jej serce było niezapisaną kartą, na której mógłbyś wysisnąć swoje piętno; ale ja, kobieta, która latami żyłam w wirze światowym i do tego nie jestem brzydką, nie mogłam przecież w żaden sposób przejść z nieporuszonem sercem wobec tylu miłosnych starań, których byłam przedmiotem.

Teraz kocham ciebie i to ci powinno wystarczyć. Czy nie sprawia ci to satysfakcji, że zerwałam z dumnym księciem dla ciebie? Czyż ja cię o to pytałam, czyś już kiedy kochał? A mogłabym o to pytać prędzej niż ty!

W tej chwili zobaczył w wyobraźni postać żony, o bladej cierpiącej twarzy i smutnym, wyrzutu pełnym spojrzeniu.

Opanował go jakiś fizyczny i duchowy ból i aby zagłuszyć głos sumienia rzucił się w objęcia swej kochanki z okrzykiem:

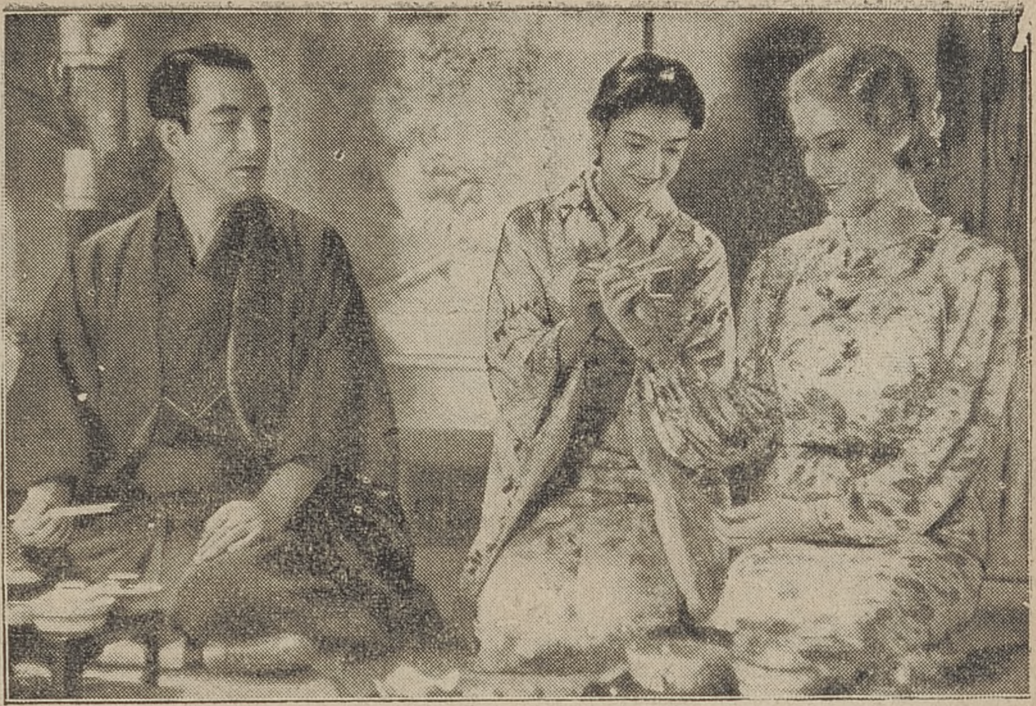
— Masz słuszność! Niech się po naszej śmierci dzieje co chce!

I w ten sposób rozproszył przykre obrazy przeszłości.

Lola obsypywała go pieszczotami.

Gdy jej się zdawało, że przezwyciężyła humor kochanka, zaczęła z niezwykłą powagą:

— Pozwól, że się raz sprzeciwię swej dewizie i pomyślę o najbliższej



Scena z japońsko — niemieckiego filmu — „Nowa Ziemia". W rolach głównych niemiecka artystka Ruth Eweler z swoją japońską koleżanką Hara Setzuko i artystą japońskim Sessue Hayakawa.

przyszłości. Po dzisiejszej scenie, między nami a księciem Iffalvi' nie możemy na razie zostać we Wiedniu. Iffalvi jest mściwy, i będzie mnie napewno chciał czymś dotknąć!

Wreszcie nie szczędziłby żadnego trudu, aby stosunek nasz zdradzić światu i ośmieszyć nas. Nie wspomni on ani słowem o dawnych stosunkach jego do mnie; jest on zanadto rycerskim, aby to mógł uczynić. Ale kodeks honorowy, który on uznaje, nie idzie niestety we względach swych dalej.

Mam więc zamiar opuścić Wiedeń na czas jakiś. Nie chcę tego jednak uczynić bez ciebie, mój kochany! Czy zechcesz pojechać ze mną? O dobrą wymówkę nie trudno! Czy nic cię nie trzyma we Wiedniu?

— Nie, nic mię tu nie trzyma — przysięgał Leon ściskając piękną kobietę namiętnie. — Pójdę za tobą dokąd ty się udasz, jako twój sługa i niewolnik, bo ty jesteś moim życiem.

Mówił to gorąco i namiętnie.

Czy nie myślał zupełnie o przysiędze, którą złożył Hortensji i czy nie bał się zemsty nieba za swoje sprzeniewierzenie się?

ROZDZIAŁ LXXI.

Hortensja przeżyła trzy dni okropne, pełne rozpaczy, w których kielich goryczy, aż do dna wychyliła.

Z trwogą i niepokojem, z bolesnem uczuciem z jednej strony, a pełną tęsknoty miłością z drugiej, wyczekiwała w tym czasie powrotu Leona, jednakże daremnie.

Stała cały dzień przy oknie, w nadziei, że zobaczy smukłą elegancką jego postać. Nie odważała się rozebrać i położyć wygodnie do łóżka z obawy, że on mógłby przyjechać, zastać ją pogrążoną w głębokim śnie i myśleć, że to jest okazaniem obojętności.

Tak więc zdrzemnęła się tylko w w ubraniu przez kilka godzin, bo natura żąda swoich praw, lecz trapiona ułudnymi snami, budziła się często i niespokojnie ze snu, myśląc, że nadchodzi mąż; za każdym razem jednak nadzieja ją zawiodła.

Jadła mechanicznie, lecz tylko wtedy, gdy jej głód już dokuczał.

Wewnętrzny niepokój męczył ją bardzo. Chciał iść szukać Leona, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać, w tak dużym mieście, jak Wiedeń.

Bała się też, że podczas jej nieobecności, gotów był przyjść Leon i nie zastać nikogo w domu.

Tak więc siedziała smutna w swoich czterech ścianach, myśląc nad zagadkowym zniknięciem Leona, i o dawniejszych swych troskach.

Owego wieczoru, gdy ją Feldern tak prędko opuścił, by podążyć za Leonem, nie był więcej u niej. Dopiero następnego dnia dostała Hortensja list od Felderna, w którym ją zapewniał o swem współczuciu i swej uległości, w najserdeczniejszych, a zarazem pełnych uszanowania wyrazach.

Prosił, jako dowód łaski, aby się Hortensja w razie potrzeby z całem zaufaniem i otwartością do niego zwróciła. Równocześnie przepraszał ją za to, że się osobiście nie dowiadywał o jej powodzeniu, lecz to nie zgadzałoby się to z jej i jego godnością, aby on odwiedzał jej dom, nim się Leon po ostatniem swojem znalezieniu, przed nim nie uniewinni.

Dodał jeszcze, że mu się wtedy nie udało spotkać Leona i że dlatego nie mógł jeszcze wyjaśnić przykrego nieporozumienia.

Zapewnieniem nieograniczonego zaufania i braterskiego przywiązania, kończył się list Felderna.

W liście tym tyle było nieegoistycznej miłości i zaparcia się samego siebie, że każda inna kobieta byłaby się czuła szczęśliwa, doznając takiego hołdu.

Hortensja jednak przeczytała list Felderna tylko przelotnie i odłożyła go obojętnie na bok, nie znalazłszy w nim oczekiwanych wiadomości o Leonie.

Mimo niewierności męża swego, mimo pewności, że on już nie kocha,



Depesze z frontów hiszpańskiej wojny domowej donoszą o zwycięskiej ofensywie wojsk narodowych w południowej Hiszpanii. Na zdjęciu wysunięta placówka oddziałów gen. Queipo de Llano, forsujących zaciekle bronione przez wojska czerwone przedpola Malagi.

mimo gorzkich chwil, które jej już sprawił, kochała go Hortensja dalej.

Wreszcie trzeciego dnia wieczorem, gdy Hortensja wyczekiwała z utęsknieniem i niecierpliwością zawsze jeszcze powrotu swego małżonka, zapukano cicho do drzwi.

Z lekkim okrzykiem pobiegła młoda kobieta ku drzwiom, w nadziei, że zobaczy wreszcie długo oczekiwanego męża, cofnęła się jednak z wyrazem rozczarowania, gdy w świetle zobaczyła obcą postać. Dopiero po chwili zmieniło się to rozczarowanie w szczerą radość, gdy po głosie poznała nauczyciela śpiewu, Gelliniego.

— Przepraszam — rzekł mistrz z uprzejmością w głosie i postawie — że pozwoliłem sobie odwiedzić panią w jej mieszkaniu. Byłem zaniepokojony o panią, gdyż wczorajszy liścik donosił, że po małej przerwie, spowodowanej niedyspozycją zdrowia, znów na lekcję przyjdzie. Czekałem wczoraj i dzisiaj daremnie, w nadziei, że panią znowu u siebie zobaczę. Zacząłem się niepokoić, że pani może znowu zachorowała i przyszło mi na myśl, aby się samemu o zdrowiu pani dowiedzieć.

Zawstydza mnie pan — rzekła Hortensja, która z trudem panowała nad sobą, aby spełnić najzwyklejszy obowiązek towarzyski i poprosić gościa aby wszedł i usiadł — nie zasługuję doprawdy na taką wielką dobroć z pańskiej strony, bo muszę otwarcie przyznać, że to nie cierpienie fizyczne od lekcji muzyki mnie wstrzymywało; miałam tylko wielkie zmartwienie i tak się nim przejęłam, że zapomniałam o wszystkim.

Mistrz Gellini tak był wpatrzony w Hortensję, że prawie jej nie rozumiał. Nie spostrzegł też zmian zaszłych w Hortensji w ostatnich czasach, nie zauważył bladych jej policzków, ani smutnych ócz, ani też melancholijnego wyrazu jej twarzy. Zupełnie inna myśl go absorbowała.

— Co za podobieństwo! — mruknął pod nosem — miałożby ono być naprawdę tylko przypadkowym?

Hortensja zdziwiona niezwykłym postępowaniem mistrza, spojrzała na niego i próbowała rozpocząć rozmowę kilku obojętnymi słowami.

Ale mistrz nie odpowiadał i nie spuszczał z niej wzroku.

Spostrzegł bowiem, na jej zaniedbanym w ostatnim czasie ubraniu, starożytny medalionik bardzo niezwykłej formy, wiszący na cieńkim, złotym łańcuszku.

Ten medalionik zwrócił jego uwagę i tak go zastanowił.

— Proszę panią — wyrzekł wreszcie, zwracając się do Hortensji — aby mi pani pozwoliła przypatrzyć się dokładnie medalionikowi.

Nieco zdziwiona, uczyniła Hortensja zadość życzeniu swego mistrza, który drżącymi rękoma ujął podany przedmiot, przybliżył ją do lampy i przypatrywał mu się rozognionym wzrokiem.

— Nie ma wątpliwości — szepnął po chwili — jest to herb jej rodziny mimo, że już bardzo zatarty. Dziewięciopałkowa korona hrabiowska, niedzielne pole; po lewej stronie sztab owinięty laurami, po prawej zaś dewiza „Wierny swemu królowi". Nie to jest niemożliwe, abym ja się mylił! Herb ten zanadto dobrze wbił się w mą pamięć.

Otwórz jeszcze madalion dla pewności i zobaczył wewnątrz dwa skręcone loki, ciemnego i jasnego koloru włosów.

Odkrycie to spotęgowało jeszcze bardziej niepokój Gelliniego.

Głośno i namiętnie mówił sam do siebie w ojczystym języku i obmacywał medalion drżącymi rękoma, jak gdyby szukał w nim jakąś tajemniczą sprężynkę.

Ku wielkiemu zdziwieniu Hortensji usunęła się wewnętrzna płyta medalionu, a pod nią ukazywały się dwa malutkie, na kości słoniowej mistrzowską ręką wymalowane portrety.

Jeden z nich przedstawiał piękną dziewczynę, podobną zupełnie do Hortensji, jak dwie krople wody, ale piękność jej podniesiona jeszcze była nadzwyczaj wytworną toaletą.

Drugi portret przedstawiał nie mniej pięknego młodzieńca, a z idealnie pięknych rysów jego, z marzycielskich oczu i wyrazu całej twarzy, poznać było można wyraźnie, że jest to stanowczo portret Gelliniego z bardzo młodych lat.

Mistrz krzyknął na widok tych portretów. Uchwycił szybko obie ręce Hortensji i zapytał:

— Powiedz pani, na miłość Boską, skąd masz ten medalion?

— Jest to moje jedyne dziedzictwo, które mi pozostawiła moja nieboszczka matka — odparła Hortensja wzruszona.

— Tak tedy przeczucie moje nie zawiodło mnie. Nie zrozumiałem tylko, od razu głosu natury, który odzywał się w mym sercu głośno i stanowczo — wołał Gellini namiętnie. — Znalazłem cię wreszcie, córko ukochana, za którą biedne serce moje, tęskniło przez lat wiele! O, nie uciekaj ode mnie! — Pójdź w objęcia twego ojca, spocznij na jego sercu.

Poczem objął wahającą się Hortensję, okrył jasną jej główkę gorącymi pocałunkami i szeptał głęboko wzruszony, językiem swej ojczyzny:

— Moja córka, moja kochana córka!

W końcu udało się Hortensji uwolnić z jego objęć, zawsze jeszcze głęboko wzruszonego. Łagodnie i nieśmiało, odezwała się do niego w te słowa:

— Mistrzu mój, miałam zawsze dla ciebie przywiązanie córki i byłabym szczęśliwą, gdybym cię mogła nazwać swym ojcem. Trudno mi jednak uwierzyć, że mi Pan Bóg taką wielką radość przeznaczył, bo mówiono mi zawsze, że moi rodzice oboje poumierali już w najwcześniejszej mej młodości. Jakże to więc może być, aby kochany mój ojciec znajdował się jeszcze między żyjącymi?

— Dziecko moje — zaczął mistrz poważnie — nad urodzeniem wisi ciemna tajemnica, którą zasłonę chcę ci choć w części odsłonić, aby ci dowieść, że mam do twej dziecięcej miłości prawo.

Posłuchaj więc historii najszczęśliwszej, a zarazem i najnieszczęśliwszej epoki mego życia:

Przed ośmnastu laty nie byłem jeszcze złym, złamanym przedwcześnie, zestarzałym mężczyzną, jakiego dziś przed sobą widzisz. Byłem w kwiecie wieku, stałem u szczytu sławy i zdobywałem chcąc nie chcąc wszystkie serca kobiece.

Gdym z wielkiego północno - niemieckiego miasta przybył do opery wiedeńskiej, wyprzedziła mnie sława, ale ja zimno i obojętnie odpychałem wszelkie hołdy i miłość, jaką mnie obdarzała płeć piękna.

Ciąg dalszy na str. 153.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

LUBIĘ TWOJE OCZY...

Lubię głębię Twoich oczu i ich tajemnicę,
Tak, jak lubi się tonie wód, ich światła i mroki.
Rzadko u nich uśmiech pogody, beztroski pochwycę,
Zwykle mają wyraz mroczny, poważny, głęboki.

Chociaż zawsze tajemnicze, jednak mówią wiele,
(Trudno zrozumieć ich mowę, choć patrzą wprost we mnie)
Dostojność jakaś z nich idzie i wokół się ściele,
Oprzeć się ich urokowi — byłoby daremne.

Danuta Wyrybkowska.

PROŚBA O POŚWIĘCENIE WIERSZYKA

„Ciemnooka Ira". Chciałabym, aby oczekiwanie Pani nie było daremne, aby przyniosło jakiś dobry rezultat.

Na fotografię Pani czekam z niecierpliwością. Tak samo na dłuższy list z ciekawym opisem okolic, w których Pani zamieszkuje.

Żegnam Panią mocnym uściskiem dłoni.

Dopisek z listu „Ciemnookiej Iry":

„Białą Uajali", przemiłą autorkę zamieszczanych w „Krainie" wierszyków, proszę o poświęcenie mi chociaż małego utworku. „Blankę", „Dzinkę", „Smutną Elę" „Wilka Morskiego" i „Wirryta" — pozdrawiam serdecznie".

LIST Z POSTE - RESTANTE WRÓCIŁ!

„Samotny Sfinks". List z poste - restante wrócił, z powodu tego proszę Panią o podjęcie listu w jakikolwiek inny sposób.

A teraz — uwaga! Głos zabiera „Samotny Sfinks":

„Zainteresowałam się P. Ed. T. z Gniewkowa i P. A. G. z Nowojelni i chciałabym od tych Panów odebrać list.

„Królewnie Mary", „Złotej Hrabiance", „Adonisowi z Podlasia" i „Dowcipnemu Kozakowi ślę dużo, dużo milutkich pozdrowień.

I jeszcze jedno: „Dziewczynko z dalekiej Ojczyzny", może skreślisz do mnie kilka słów? Mam wrażenie, że pochodzisz z Hiszpanii lub Włoch. Wydaje mi się, że nawiązany obopólnie kontakt dałby nam dużo satysfakcji..."

CO O SOBIE PISZE „UŚMIECH PORANKU II"?

„Uśmiech Poranku II". Dzisiaj zawitał do „Krainy" drugi „Uśmiech Poranku". Wspaniale! Może rozjaśnią się trochę i poweseleją wszystkie szare i smutne duszyczki od tylu uśmiechów?

Co o sobie pisze „Uśmiech Poranku II"? Zdradzę jak najchętniej:

„Moje Powieści" stały się w moim trudnym życiu, czymś niezbędnym i drogim, jak może być drogim serdeczny przyjaciel.

Jestem podobno ładną i wesołą dziewczynką. Kocham świat i życie, chociaż to życie przyniosło mi dużo goryczy. Nieraz, gdzieś w głębi, coś boli mnie, ale i wtedy pogodny uśmiech kwitnie na moich ustach.

Czy napisze ktoś do mnie? Pozdrawiam serdecznie: „Smutną Kazienkę", „Irę", „Słodką Danuś", „Białą Uajali", „Jadźkę z Kujaw", „Wilka Morskiego", i „Sztubaka".

WSZYSTKO DLA SYMPATYKÓW „KRAINY"

„Wesoła Irutka" przesyła Sympatykom dużo miłych słów. Wszystko od „a" do „zet" przedrukowuję:

P. Cześkowi Taberskiemu zasyłam moc pozdrowień. Czołem! — Lotniku! Idź z uśmiechem przez życie!

Uścisk łapki i moc pozdrowień przeznaczam dla „Smutnej Kazienki". Może napiszesz do mnie, a rozweselę Cię chętnie?

Uśmiech, choć z oddali, ślę „Wirrytowi" z zapytaniem, czy nie zechciałby do mnie skreślić kilku miłych słów.

Dla „Velgi" i „Bolusia" również uśmiech!"

NIE CHODZI O KSIĘŻNICZKĘ Z BAJKI

„Uwięziona Księżniczka". Nie chodzi tu o księżniczkę z zajmującej powiastki lub bajki, ale o żywą „Księżniczkę" z czarnymi loczkami i marzącymi oczętami. „Księżniczka" ta mieszka w uroczo położonym miasteczku i nudzi się biedactwo, bo nie ma, ani braciszka, ani siostrzyczki, ani nawet życzliwej przyjaciółki. To źle, bardzo źle! Musimy jakoś pomóc, biednej „Księżniczce" prawda? I to zaraz, aby nie czekała zbyt długo! Wszystkie miłe słowa ofiaruję się natychmiast „Księżniczce" przekazać.

„ŻYCIE UPŁYWA MI JEDNOSTAJNIE I CICHO"...

„Maryszek". Zapowiedziana przez Pana wizyta cieszy mnie bardzo. Z niecierpliwością na nią czekam!

A teraz, ponieważ pragnie Pan nawiązać skimś kontakt korespondencyjny, pozwolę sobie przedrukować kilka zdań z listu Pana.

„Mieszkam w małym, prowincjonalnym miasteczku. Życie tutaj upływa mi jednostajnie i cicho. Pracuję w miejscowym urzędzie miejskim i poza pracą, brak mi zupełnie jakichkolwiek innych rozrywek. Czy w „Krainie" znajdę kogoś życzliwego, który okaże mi trochę serca i zainteresowania? Odpłacę się za to w dwójnasób".

Na zakończenie jeszcze kilka słów á propos nadesłanego wiersza. Otóż jest on za słaby do druku. Prócz kilku luźnych myśli, obrazujących psychiczny stan Pana, nie ma w nim nic szczególnego, przyzna więc chyba Pan sam, że podobnego utworu nie mogę zamieścić?

DOBROĆ

„Przedwiośnie". Dobroć jeszcze nigdy nie zawiodła. Wszystko inne zawiodło, ale dobroć nigdy, dobroć zawsze zwyciężyła. Tylko — trzeba być jej wiernym do końca, chociaż ludzie śmieją się i krzywdzą i nie rozumieją nas na razie. Wierz mi, Dziewczynko Miła, że ci sami ludzie skapitulują kiedyś, przejrzą i poznają, że źle sądzili. Podejdą wtedy inaczej do nas i sami staną się lepsi. Pięknie powiedział o dobroci Rydel w swoim wierszu, zatytułowanym „Dobroć". Wiersz ten już nieraz przytaczałam, ale dzisiaj powtórzę go jeszcze raz:

Tak mało na świecie dobroci,
A tyle jej światu potrzeba,
Nią życie, jak złotem się świeci,
Nią ziemi się zbliża do nieba.

Potęga jej w sercu poczęta,
Nie mija bezpłodnie i marnie,
Sieroty i polne ptaszęta
Litośnie pod skrzydła swe garnie.

Aż leśne ptaszyny oswoi,
Że same do rąk jej się zlecą
I serca najdziksze rozbroi,
Że same dobrocią zaświecą.

Tyle o poruszonej przez Panią sprawie. Listu dyskusyjnego nie zamieszczam, gdyż narazie jest nieaktualny. Zamieszczę go jednak chętnie przy okazji. Łączę dużo, dużo miłych pozdrowień!

KTO BĘDZIE CHCIAŁ...

„Róża Południa". Nie dużo napisała o sobie „Róża Południa", ot, kilka słów, że chciałaby korespondować, że posiada duże, niebieskie oczy i kocha kwiaty. To wszystko! Kto będzie chciał dowiedzieć się czegoś więcej o „Róży", musi do Niej sam napisać!

Tajemnicza ta Pani przesyła pozdrowienia: „Samotnej Indiance", „Lusi — Szczebiotce", „Marzycielowi z nad Noteci" i „Stachowi z pod Żnina".

APEL O LISTY

„Młody Orzeł" jest młodym, przystojnym blondynem. Mieszka w Poznaniu. Lubi sport i przygody.

Apeluje o listy. Szczególnie prosi o kilka słów: „Słodką Danuś", „Dumkę", „Armidę" i „Zefi".

DZIĘKUJĘ!

„Zdobywca Serc". Przesyłam Panu na daleki Wołyń moc najserdeczniejszych pozdrowień z stron znanych i zapewnie drogich Panu.

Za jednanie abonentów dla naszego wydawnictwa — dziękuję Panu gorąco. Również za wszystkie życzliwe słowa.

A teraz „coś" od Pana:

„Leśna Rusałko"! Dlaczego milczysz tak uporczywie?

„Ptaszyno z nad morza"! Czy wolno zapytać, gdzie zimujesz?"

Pozdrowienia dla „Nie - biednej" i „Słodkiej Danusi".

WIADOMOŚĆ SPRAWIŁA MI RADOŚĆ

„Samotna Sosna". „Nawiązana korespondencja przyniosła mi dużo satysfakcji" — pisze Pani. Wiadomość ta sprawiła mi radość, gdyż zamieszczając fotografię Pani i wierszyk, życzyłam Pani serdecznie otrzymania jak najwięcej listów. Życzeniu memu stało się zadość — stąd radość moja i zadowolenie. Przesyłam Pani moc pozdrowień!

Załączony wierszyk, „Powiedz mi"..., posiada miejscami bardzo piękne akcenty, ale całość jego pozostawia dużo do życzenia. Może poprawi go Pani? Łączę miły uścisk dłoni!

„CZY OTRZYMAM PRZEBACZENIE?"

„Fakir". Ocenę nadesłanych wierszyków znajdzie Pan w następnym numerze, w „Tęczce Wujka Janusza".

W liście Pana znalazłam dużo pochlebnych słów, dotyczących „Moich Powieści". Dziękuję za nie! Będzie mi naprawdę miło, jeżeli nie zmieni Pan wypowiedzianych w liście zdań.

A teraz zamieszczam tę część listu Pana, która nie jest dla mnie przeznaczona:

„Moc pozdrowień ślę pp. Irce i Maryli Koteckiej z Poznania, dalej p. Jance Czarkowskiej z Chojnic, „Hanusi z pod Chodzieży", p. Doni z Nowego n. W., p. Lili L. art. ze Lwowa. (Panno Lili! Nie przybyłem z powodu różnicy naszych zapatrywań!)

„Nino, pozdrawiam serdecznie. Uważam naszą korespondencję za skończoną. Uporu mego nie potrafię przełamać.

„Dzinko", nie wiedziałem, że „ktoś" czeka, inaczej nie byłbym dopuścił do przeziębienia. Czy otrzymam przebaczenie? Pozdrawiam!"

PRZYZNAJĘ RACJĘ

„Banialuka". Bezwzględnie ma Pani rację, że człowiek wykształcony nie tylko w mieście, ale i na wsi ma szerokie pole do pracy. W główce Pani nie jest więc „różowo", jak się to Pani wydaje, przeciwnie, powiedziałabym, że myśli Pani bardzo rozsądnie. Żegnam Panią. „Banialuko" i chętnie zamieszczam „post scriptum" Pani:

„Zasyłam milutkie pozdrowienia „Cygance o smętnych oczach", „Dziewczynce z Rogoźna", „Tartukowi", „Laleczce", „Podchorążemu z Grudziądza" i „Opuszczonemu Marynarzowi".

„NA WSZYSTKIE LISTY — ODPOWIEDŹ!"

„Solidny Ślązak". Pseudonim miły i zachęcający, ale i list właściciela pseudonimu posiada te same zalety. Czytajmy, a przekonamy się, że tak istotnie jest:

„Mam lat 28 i lubię nade wszystko pracować. Pracę moją kończę o godzinie 15-tej, ale ze względu na poboczne zajęcia zawsze brak mi czasu.

Posiadam życzliwe serce i młodość. Pragnę poznać osobę miłą, szczerą i wartościową celem nawiązania interesującej wymiany myśli. Nie chodzi mi o bezcelową, suchą korespondencję, ale o skojarzenie i zbratanie dwóch dusz. Na wszystkie otrzymane listy bezwzględnie dam odpowiedź.

Miłe pozdrowienia ślę wszystkim miłym Paniom należącym do „Krainy". Osobne: „Maryśce" i „Steni", „Li z nad Olzy", „Dumnej", „Szczerej Ślązaczce", „Wesołej Zosi", „Kameleonowi II." i „Słodkiej Danusi".

TAK MI SIĘ ZDAJE...

Tak mi się zdaje, że gdzieś w dali, w dali,
W twojem się oknie jasne światło pali,
Widzę świetlany smug
I dusza moja z piersi się wyrywa,
Bo ją to światło przemożne przyzywa
Z dalekich dróg.

Cicho i ciemno i pusto dokoła,
Czy to tęsknota, czy naprawdę woła
Głos drogi z obcych dróg?
Smug się świetlisty z okna w dali kładnie,
A duch mój idzie po nim, aż upadnie
U twoich kochanych nóg.

J. M.

PISZCIE NA POSTE - RESTANTE

„Brunet z Pałuk" zapałał ogromną chęcią nawiązania korespondencji z jakimś miłym stworzonkiem. W tym celu podaje następujący apel:

„Hallo! Tu „Brunet z Pałuk"! Bardzo miły chłopiec o pięknych oczach! Kto zainteresuje się mną chociaż trochę otrzyma ode mnie długi list.

Miłe pozdrowienia przesyłam dla: „Samotnej Sosny", „Szarotki", „Rozpieszczonej kotki" „Dziewczynki z Rogoźna", „Erosa", „Stacha z pod Żnina" i „Iwasia z Pałuk".

Na zakończenie podaję adres, na który proszę kierować dla mnie listy: Poste — restante, Gąsawa, pow. Żnin (dla „Bruneta z Pałuk").

„MOŻE ODEZWIE SIĘ?"...

„Ninette" nie otrzymała dotychczas ani jednego listu, jeżeli więc komuś zależy na rzeczowej, miłej korespondencji, niech prześle „Ninetce" kilka słów. W odpowiedzi otrzyma długi i bardzo miły liścik.

Hallo! „Piciątko"! Z polecenia „Ninette", przesyłam Panu następujące słowa:

„Może odezwie się Pan pierwszy do mnie. Pisze Pan, że jest zadowolony, ale chciałby być i szczęśliwy. Spróbujmy — może to szczęście znajdziemy w korespondencji!"

DLACZEGO?

„Ar." W związku z ostatnim listem składam Pani w pierwszym rzędzie serdeczne współczucie z powodu zgonu Brata Pani.

Pisze Pani, że bardzo chętnie wysyła listy do mnie, tylko... dlaczego te listy są takie krótkie, takie skąpe. A może Pani nie lubi pisać dużo? No tak, ale ja znowu, jeżeli chodzi o listy, nie lubię mało czytać. Koniec końców będziemy więc musiały tę sprawę jakoś wspólnymi siłami złagodzić, prawda?

LIST OTRZYMAŁAM

„Szara Fala". Pierwszy list Pani nie zginął. Otrzymałam go i dałam już na niego odpowiedź. Tak samo Wujek Janusz wydał już ocenę wierszyków Pani. Spodziewam się, że to wszystko zdążyła już Pani zauważyć, żegnam więc Panią bardzo serdecznymi pozdrowieniami.

JEŻELI KOMUŚ ZALEŻY...

„Romatyczny Śpiewak". Pod powyższym pseudonimem kryje się ktoś bardzo interesujący i miły. Ten „Ktoś" przesyła miłe pozdrowienia p. Janinie Brochwiczówne, p. Włódarkiewiczowi i p. W. Frenklowi, artystom Polskiego Radia. Osobne — „Smutnej Sztubaczce", „Słodkiej Danusi", „Takiemu małemu Coś z loczkami", „Duśce", „Królewnie Mary", „Iry-Pomorzance" i „Stachowi z pod Żnina".

Jeżeli komuś zależy na odkryciu incognita nowego Sympatyka „Krainy", niech prześle kilka słów na adres: poste — restante, Gąsawa, pow. Żnin (dla „Romantycznego Śpiewaka.)

WIERZĘ, ŻE NIE PROSZĘ DAREMNIE

„Słodka Maruszka". „Maruszko", Dziewczynko Miła, zawojowałaś mnie zupełnie swoim kochanym liścikiem. Jesteś mi dziwnie bliska... pisz szczerze i dużo, a nie zawiedziesz się.

Zamiast dłuższego apelu, proszę krótko Sympatyków „Krainy", aby napisali do „Słodkiej Maruszki" i wierzę, że nie proszę daremnie.

UWAGA „Z"!

„Z" ma w redakcji list od „Jana Szybkobiega".

WIERZĘ...

„Arepo". Miło mi bardzo, że przekonał się Pan do „Krainy" i stwierdził, że nie ma w niej żadnego zakłamania, ale dużo szczerości i serdeczności. Wierzę, że ta nowonabyta sympatia spotęguje się jeszcze więcej, gdy będzie Pan częściej pisał do nas. Serdecznie Pana pozdrawiam i czekam na nowy list.

„NIECH ZAŚWIECI SŁOŃCE I DLA MNIE"...

„Neptun II." pisze: „Poznałem dobrze ludzi i świat, lecz dotychczas nie znalazłem szlachetnego i szczerego serca, któremu mógłbym zaufać. Jestem 30-letnim blondynem, zapalonym myśliwym.

Cel mej „wizyty" w „Krainie" taki, abyście pisali do mnie. Jest mi smutno, niech więc zaświeci słońce i dla mnie".

„TERENIA Z POD WRZEŚNI"... WYPŁATAŁA NAM FIGLA

„Terenia z pod Wrześni". Wypłatała nam Pani nielada figla, wychodząc tak szybko i niespodziewanie zamąż. Życzę Pani wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia i ślę moc pozdrowień.

Dopisek Pani zamieszczam:

„Hallo! hallo! Tu „Terenia z pod Wrześni" która po pięciu miesiącach odzywa się znowu.

„Smutne Serduszko", oraz „Wa - Lę" bardzo przepraszam, że nie piszę. Przebywam obecnie na Pomorzu i Wrześnią mało się interesuję. Proszę przyjąć ode mnie śliczne na!

Maryiu M. z Teską z Murzynowa Kość.! Za liściki serdecznie dziękuję. Odpowiem zaraz!

„Echu Wsi", życzę powodzenia w „Krainie".

„Miłośnika Kobiet" i „Tartuka" pozdrawiam!"

CZY ZGADZA SIĘ?

„Taki Jeden". Interwencja o list zdaje się była zbyteczna, gdyż o ile sobie przypominam, na list ten dawałam odpowiedź. Czy zgadza się? Serdecznie pozdrawiam!

CO CZYNIĆ DALEJ?

„Złamana Brzózka". Tragedia Pani wzruszyła mnie do głębi. W związku z nią prosi mnie Pani o ratunek, o radę i informacje, co czynić dalej. Zamiast tego, napiszę Pani, jak postąpiłabym na miejscu Pani:

Przede wszystkiem zrobiłabym rachunek sumienia, czy pokierowałam swym życiem rozsądnie i uczciwie, czy też lekkomyślnie i błędnie. Jeżeli rachunek wypadłby na moją niekorzyść, postawiłabym sobie jedno zadanie: pójść dalej drogą, na którą dobrowolnie i z rozmysłem wstąpiłam. Z drogi tej nie wolno mi bowiem powrócić i wstąpić na inną, aby na tej drugiej drodze nie krzywdzić lub nie być krzywdzoną.

Poszłabym więc dalej moją smutną, pełną cierni drogą, ale z zadowoleniem, że okupiłam dostatecznie mój błąd i nie cofnęłam się przed poniesieniem konsekwencyj za złe pociągnięcie.

Nie wiem, czy słowa moje przemówią do serca Pani. Może nie, więc, proszę, niech Pani napisze do mnie jeszcze raz i poda swój adres, a prześlę Pani kilka słów listownie. Łączę pozdrowienia i słowa otuchy, że życie jakoś ułoży się Pani, może nie bardzo szczęśliwie, ale spokojnie i przede wszystkim uczciwie.

Teczka Wujka Janusza

WYSŁAŁA ADMINISTRACJA

„Te - Em". Z przeznaczonych do oceny rękopisów, wybrałem do druku nowelkę — „Wakacje mojego stryja" i wierz — „Do Ciebie", który już ukazał się w I. K. P.

Numery autorskie wysłała Panu administracja.

Na zakończenie podaję Panu do wiadomości, że nadesłana karykatura ukaże się już w najbliższych numerach „Moich Powieści", oraz pozdrawiam Pana w imieniu p. Zofii i swojem.

Dopisek z listu „Te - Em":

„Ślę miłe pozdrowienia „Duśce", „Dumce", i dziękuję „Białej Uajali" za poświęcony mi kiedyś wierszyk.

„Wesołemu Słowikowi" donoszę, że nie będę mógł nawiązać korespondencji. Dlaczego?— wytłumaczę!"

KTÓRE WIERSZE PÓJDĄ DO DRUKU?

P. M. G. Sosnowiec. Wiersz „Dziwny sen" — odpada, do druku pójdzie: „Szczęście" i „Bal maskowy". Ostatni wiersz odłożyłem jednak na pewien czas do teczki, gdyż narazie jest nieaktualny. Serdecznie Pana pozdrawiam!

SZCZĘŚCIE

P. Danucie Wyrybkowskiej

Nie wszystkim szczęście jednakowo sprzyja:
Do jednych wcześniej z „uśmiechem" przychodzi,
Drugich — z daleka codziennie omija
I tylko życie im nadzieją „słodzi"...

W szarego życia potężnej wichurze
Los lubi mścić się okrutnie, bezmiernie...
Jednych prowadzi do sławy przez róże,
Drugich do nędzy przez głogi i ciernie...

Kto z losem walczy odważnie, przytomnie,
A w walce całą swą siłę wytęża,
Temu się w życiu powodzi ogromnie
I człowiek taki najczęściej zwycięża!

Mieczysław Grzegorski.

NIE JESTEM ZŁOŚLIWY...

„Laleczka". W wierszu Pana — „Idę sobie raz ulicą"... — znalazłem taką zwrotkę:

„Idę sobie raz ulicą
Tak ochoczo, tak wesoło,
A tu naraz, co ja widzę,
Czy Anioła, czy posąga"...

Zbladłem! I to dlatego, że podobnych rymów jeszcze nie oceniałem. Cóż mam o nich powiedzieć? Chyba to, aby Autor karierę poetycką zaczął od gramatyki.

Wydawałoby się, że jestem złośliwy, gdy tymczasem słowa moje dyktuje tylko szczerość, która chyba nie będzie źle komentowana przez autora niefortunnego wierszyka?

SŁABA BUDOWA I DUŻO SZABLONU

„Uśmiech Poranku II." Nie mogę przychylić się do prośby Pani, gdyż nadesłany wierszyk posiada nietylko słabą budowę, ale mieści w sobie również dużo szablonu. Może następny będzie lepszy?

WIERSZE NIE NADAWAJĄ SIĘ JESZCZE DO DRUKU

„Samotna Indianka". Wiersze, zgodnie z życzeniem, zniszczyłem, gdyż... nie nadawały się jeszcze do druku. Myślę jednak, że nie zrazi to Panią, ale przeciwnie, doda bodźca do tym intensywniejszej pracy nad sobą.

Dziękuję Pani za nadesłane pozdrowienia, które odwzajemniam i czekam na nowy list.

BRAK TALENTU

„Poeta z Bożej łaski". „Wichurą chwieją się drzewa,
Ludzie słodko dawno śpią
I w tej ciszy serce śpiewa,
Jakby łkało za lubą swą"...

Oj, poskąpił Panu Bozia talentu, widzę to z powyższej zwrotki; wyjętej z długiego wiersza Pana. Nie radzę łudzić się dalej, raczej powiedzieć sobie prosto, że nie jest się stworzonym do pisania utworów poetyckich. Łączę miłe pozdrowienia, rewanżując się za przyjazny uścisk dłoni.

WIERSZE POSZŁY DO KOSZA

„Kozak". Utwory Pana cechuje jedno: wielkie umiłowanie przyrody. Ale to mało! Wiersze muszą posiadać harmonijną budowę zdań, dobry rym, a przede wszystkim rytm. Tego zaś zupełnie brak u Pana i dlatego wszystkie wiersze poszły do kosza.

Raj kobiet



Miękki, ciepły garnitur narciarski w kolorze ciemno - brązowym, marynarka zapinana na guziki. — Praktyczna i ładna kamizelka skórzana; rękawiczki w tym samym kolorze. — Klasyczny w linii garnitur narciarski z granatowej, miękkiej wełny. — Spódniczka — spodnie z szerokimi kieszeniami i sportowa bluza. — Kostium na lód, składający się z obcisłego żakiecika i szerokiej kloszowej spódniczki. Dół spódniczki i brzegi żakietu obszyte wąskim paskiem futerka.

Zadeklarować — to przecie nie wszystko...

Gdy na jesieni poczęła stawać się aktualną sprawą zorganizowania pomocy zimowej dla bezrobotnych i na terenie całej Polski zawiązały się komitety do walki z głodem i chłodem — nie było chyba bardziej czynnego, bardziej oddanego rzecznika tej akcji niż pan Filip.

Koledzy biurowi wprost nadziwić się nie mogli skąd w tym niepozornym, zwykle małomównym człowieku wzięła się nagle taka elokwencja, taka przekonywująca siła wymowy, niewidziany dotąd zapał i energia.

A z rogu pokoju, z nad biurka, zawalonego teczkami, skorowidzami, gdzie rezydował pan Filip, rozlegał się jego tubalny głos, który przekonywał, dowodził, uzasadniał ciągle to samo: konieczność jak najszybszego uruchomienia na szeroką skalę zakrojonej akcji pomocy zimowej bezrobotnej ludności Polski, akcji, w której wziąć winno udział całe społeczeństwo.

— Cóż to za uspołeczniony człowiek — mówili o panu Filipie koledzy.

— Cóż to za nadzwyczajny obywatel — mruczał z uznaniem sam szef. A roztkliwione niemal do łez maszynistki — panna Genia i panna Joasia szeptały poprostu: cóż to za złote serce...

Na zebranie inauguracyjne lokalnego komitetu pomocy zimowej — pan Filip przybył pierwszy i niemal od pierwszej chwili zwrócił na siebie uwagę wszystkich miejscowych dygnitarzy i działaczy społecznych swym niezwykłym zapałem, rzadką gorliwością i prawdziwie chrześcijańskim zrozumieniem niedoli bliźniego.

— Panowie bracia — krzyczał, a głos jego przenikał do najzatwardzialszych serc, wyciskając łzy prawdziwego wzruszenia z oczu słuchaczy, obywatele — rodacy — gorące serca zwalczą mróz! Nie zaznają w zimie głodu nasi bezrobotni współobywatele, jeśli każdy złoży ofiarę na pomoc zimową! To nie jałmużna to obowiązek. Nie wolno dać parę groszy na odczepne! Opodatkujmy się, my wszyscy, którzy mamy pracę, dach nad głową...

W te słowa przemawiał długo i pięknie pan Filip. Na zakończenie zaś zadeklarował na rzecz pomocy zimowej, swą całomiesięczną pensję zastępcy naczelnika cale 600 złotych zagrzewając obecnych do naśladownictwa.

— Nie 1 proc., czy nawet pół proc. naszych poborów, ale całą pensję powinniśmy dać — grzmiał pan Filip.

Od tego dnia o panu Filipie zrobiło się głośno w miasteczku. Począł się cieszyć wielką popularnością. Patrzono na niego z uznaniem, ba, z podziwem!

— Taki człowiek to przecie cud w dzisiejszych czasach — powiedziała nawet o panu Filipie pani aptekarzowa do pani sędziny na herbatce u żony wicestarosty.

Drugiego posiedzenia komitetu pomocy zimowej oczekiwano w miasteczku z niecierpliwością, jak rewelacji. Snuto najfantastyczniejsze domysły na temat, co też znów powie pan Filip.

Ale pan Filip był widać tym razem jakoś nie usposobiony, czy może chory, dość, że powiedział tylko parę słów, które ponieważ były powtórzeniem, jakkolwiek w znacznym skrócie, poprzedniego przemówienia — zabrzmiały jak frazesy.

Na trzecim zebraniu komitetu pan Filip już się wcale nie odezwał. Na czwarte wogóle nie przyszedł. Gdy jednak nadszedł termin płatności pierwszej raty zadeklarowanej na rzecz pomocy zimowej sumy — zapłacił ją skrupulatnie.

W biurze jednak jakoś niemal z każdym dniem pan Filip przycichał. Głos jego tracił na natężeniu; matowiał, energia ulatniała się, jak powietrze z dziurawego balonika. Zdawało się niekiedy kolegom pana Filipa, że nad stosem zakurzonych akt siedzi znów tylko zwykły, przeciętny zgryźliwy urzędnik.

— Mam tyle kłopotów na głowie... zbywał zdziwione zapytania pan Filip.

Tymczasem nadszedł termin płatności drugiej raty. Pan Filip jednak widocznie w nawale pracy jakoś o tym zapomniał. Nie zapłacił.

Słomiany zapał wytlił do reszty. Nie wystarczyło go nawet — do drugiej raty dobrowolnie przyjętego na siebie zobowiązania.

Mróz zwalczać mogą tylko gorące serca. A nie są gorące te serca, w których przygasł nawet słomiany ogień...

Świat i życie

Uwaga start!

(Wspomnienia radioreportera)

Z codziennego programu radia wyjmijmy owe 15 minut, nazwane „reportaż" albo transmisja z życia i przyjrzyjmy się pracy radioreportera lub sprawozdawcy.

Zabieramy się więc do transmisji złożonej z 5 transmitowanych obrazków z życia. Nagrać ją trzeba samochodem transmisyjnym na aparaturę Neumanna, a więc na płytach. Jutro idzie ona na antenę, a bywa często, że transmisja taka nadawana jest w ciągu tego samego dnia.

Tematy 5 obrazków słuchowiskowych w zarysach zostały pomyślane, pozostałe elementy wartościowsze dla transmisji wyłaniają się na miejscu. Następnie należy skomunikować się z środowiskami, w których nagrany zostanie reportaż. A więc — do telefonu!

Około 2 godzin dzwonki, tłumaczenia, wykłady i odpowiedzi na pytania: a poco? a czy to nie zaszkodzi? czy to nie reklama? kto kazał? czy to jakieś przedstawienie? — Trudno, nie wszyscy mają wyrobione pojęcie jak wygląda i do czego służy radiowy samochód transmisyjny.

Wreszcie uzyskuje się zgodę. Pozostaje teraz zapotrzebowanie samochodu transmisyjnego w Wydziale Technicznym Polskiego Radia.

Na miejscu reporter zostaje zarzucony szeregiem mniej lub więcej nieufnych pytań, czasem przyjaznych, czasem ciekawych:

— To panowie tak wszędzie szukają „wrażeń"?

— Wrażeń? Może nie — tła akustycznego... słuchowisk: Polskie Radio pragnąc dać jak najwięcej swemu słuchaczowi czerpie, jeśli można powiedzieć, „żywy program" z życia, przy pomocy tej ruchomej aparatury. Oto nadjeżdża samochód, reguluje poziom aparatury, kable na łebnie idą w teren, mikrofony, prąd z dynamo, a reporter staje przy mikrofonie, daje znak technikowi i rozpoczyna pogawędkę o tym co widzi wokoło. Technik ma już płyty na talerzach, chwyta adapter... czeka... uwaga! uwaga! start!

— Ja swoje, technicy swoje, zwijamy kable, wreszcie dziękujemy i proszę pana pierwsza trzyminutowa transmisja z życia gotowa.

Ciężkie chwile przeżywa reporter z chwilą kiedy mikrofon w czasie nagrań w terenie zostaje otwarty. Ostry koniec igły rejestruje każdy nawet oddech, a tu czasem przytomność umysłu zawodzi, czasem bywa, że się człowiek poprostu „zatka". W tych wypadkach koledzy technicy idą z pomocą. Ci orjentują się momentalnie w sytuacji. Tylko dojrzą speszoną minę sprawozdawcy i już mu na migi podają temat lub podsuwają jakiś efekt. Kiedy zaś zorientują się, że reporter poprostu jest zoyt stremowany wyłączają mikrofon i mówi człowiek „do lampy", a oni pokładają się w samochodzie ze śmiechu.

Czasem bywa, że na transmitowanym etapie wszystko już ma swe wymarzone warunki, nagle... psu który miał szczekać obok leśniczówki, ktoś rzucił kość, więc pies ogryza ją smacznie, zapominając o swym obowiązku. To znowu krowa wracająca z pastwiska zaplątała się w kabel. Wszystko stracone, wszystko na nowo, czas ucieka...

Nieraz etap, na którym spodziewał się człowiek ruchu „radiofonicznego" akurat wymarł i nie budzi żadnych wrażeń, trzeba więc szukać czegoś zastępczego.

Wszystkie te trudności musi przemóc sprawozdawca radiowy wystawiony na obstrzał ze wszystkich stron. Każdy nieprzewidziany przypadek należy przyjąć odpowiednio. Miły i efektowny wykorzystać dla wartości transmisji; nienadający się i psujący całość — odrzucić.

Praca reportera jest pracą twórczą, możnaby powiedzieć artystyczną. Wyniki jej zależą nietylko od elementów zewnętrznych, ale również i od nastroju sprawozdawcy, od jego wrażliwości i umiejętności przekazywania słuchaczom obrazów przeżyć widzianych.

Ze świata

Policjantki amerykańskie muszą być ładne i pić wódkę

Zwiększające się stale kadry przestępców, wśród których nie zabrakło również kobiet, postawiły policję amerykańską przed nowym zadaniem. Okazało się, że najlepszą bronią do zwalczania przestępczyń jest utworzenie policji kobiecej.

Pierwsze próby zostały uwieńczone powodzeniem. Obecnie na terenie całych Stanów Zjednoczonych istnieją tajne oddziały kobiet, które nie noszą mundurów, są jednak na służbie bezpieczeństwa i oddają władzom wielkie usługi.

Dostać się do kobiecej policji śledzej jest niezwykle trudno. Tylko jedna na sto kandydatek odpowiada wymaganym przepisom. Pierwszym warunkiem jest wiek od 20 do 30 roku życia. — Po przekroczeniu tej liczby lat, wywiadowczynie przenoszą się do służby administracyjnej i niespełniają już roli czynnej. Wszystkie policjantki muszą odznaczać się urodą, jednak bardzo ładne niewiasty, których piękność zwraca ogólną uwagę, nie są przyjmowane. Policjantki muszą być sympatyczne, miłe, wdzięczne i wzbudzające zaufanie. To jest największy ich walor. Muszą prowadzić auto, jeździć konno, grać na instrumentach, śpiewać, znać sztukę kulinarną, oraz... palić papierosy i pić wódkę.

Najpierw przechodzą one trzyletnie wykształcenie, po czym powierza się im co raz to trudniejsze zadania. Na czele policji kobiecej w Ameryce stoi Evelyna Clay. Na jakie trudności narażone są kobiety mogą świadczyć następujące wypadki: Pewnego dnia powierzono Evelynie Clay sprawę porwania dziecka przez Mr. Bortoną. Rozwiódł się on ze swą żoną, której sąd przyznał opiekę nad córką. Pewnego dnia dziewczyna zniknęła. Powstało przypuszczenie że to ojciec porwał własną córkę, jednak policja nie mogła odnaleźć dziewczynki. Rozwiązanie tej sprawy powierzono Evelynie. Ustaliła ona, że Mr. Borton studiuje z zamiłowaniem wszystkie dzieła pisane w języku sanskryckim.

Clay rozpoczęła studia nad tym językiem, po trzech miesiącach, zaopatrzona w listy polecające od pewnego profesora uniwersytetu, zgłosiła się do Bortona, prosząc go by pozwolił jej korzystać ze swej obszernej biblioteki sanskryckiej.

Borton był zachwycony niewiastą, która włada tym językiem i udzielił jej zezwolenia na pobyt w swym domu. Wkrótce Clay ustaliła miejsce, w którym została dziewczyna ukryta i oddała dziecko pod opiekę matki.

Gazy trujące jako broń zwierząt

Gazy trujące i gryzące ciecze, — to najlepsza broń wojenna, — od najdawniejszych czasów używana jest w świecie zwierzęcym, jako środek obrony.

Diplopody, należące do działu tysiąconogów, wydzielają ze swych ciał najrozmaitsze ciecze, które zapachem i skutkami działania przypominają kreozot, kamforę, wodę królewską (w której jedynie, jak wiadomo, rozpuszcza się złoto) i kwas pruski. Oleiste te ciecze wydzielane wrazie konieczności obrony z licznych porów grzbietowych, odstraszają niemi zbliżające się zwierzęta większe, a zabijają małe. Niektóre tysiąconogi z okolic tropikalnych, wystrzykują z siebie nawet na znaczną odległość strumienie cuchnącej cieczy, której zapach i człowiekowi daje się we znaki, piekąc dotkliwie przez czas dłuższy w oczach i w nosie; gdzie zaś padnie na skórę kropla, tam powstają zielone plamy, mocno piekące i nabiegające purpurowo.

Z pomiędzy chrząszczów, niektóre wydzielają kwas pruski, inne zaś oleistą ciecz o zapachu opium: brachnus zwany bombardierem strzela w sposób eksplozywny nieprzyjacielowi chmurami lotnego jadu; termity bryzgają zjadliwą cieczą ze swych silnie rozwiniętych główek, gąsiennica prządki hermelinowej broni się strumieniami kwasu mrówczanego wyrzucanymi z widełek ogonowych.

Spośród kręgowców wymienić należy wszelkie jadowite węże, posiadające, jak wiadomo, z przodu paszczy zęby, naciskające w chwili kąsania gruczoły jadowite.

Meksykańska jaszczurka wystrzykuje z oczu krwiste, czerwone łzy dotkliwie palące. Również i nasze salamandry i ropuchy wysączają z licznych na całym ciele gruczołów pienistą ciecz, odstraszającą nieprzyjaciół.

Najwyższy jednak wysiłek w tym kierunku uczyniła przyroda u znanych z pięknych futerek amerykańskich skunksów. Komu zdawało się być trafionym strumieniem ohydnej cieczy, jaką skunksy tryskają ze specjalnych gruczołów na odległość dwóch do trzech metrów, ten nieszczęsny musi z towarzystwa na czas dłuższy uciekać, zanim zdoła wywietrzyć. Pies, który raz już w życiu miał do czynienia ze skunksem, zobaczywszy go zdaleka po raz drugi, zmyka czemprędzej, chowając ogon pod siebie i skomląc żałośnie.

Kto wie, czy wojenny sposób skunksów nie okazał się i dla techniki ludzkiej najbardziej zgodnym z zasadą unieszkodliwiania, a nie zabijania przyjaciół.

Kobietom nie wolno jeść wspólnie z mężczyznami

W południowych Chinach ogłoszony został nowy kodeks karny i cywilny. Jeden z paragrafów kodeksu cywilnego zasługuje na podkreślenie. Głosi on co następuje: „Zabrania się wspólnego jedzenia mężczyzn i kobiet. Zabrania się wspólnego spożywania pokarmów przez mężczyzn i kobiety zarówno w publicznych instytucjach, jak i prywatnych domach. Kobiety powinny jeść po ukończeniu jedzenia przez mężczyzn. Zabronione jest wspólne mieszkanie kobiet i mężczyzn w jednym pokoju. We wszystkich hotelach i zajazdach zabronione jest zatrzymywanie się w jednym numerze mężczyzn i kobiet. Zabronione jest wspólne chodzenie, lub wspólne podróże wojskowych i pań. We wszystkich teatrach i kinach zabronione jest siedzenie obok siebie mężczyzn i kobiet.

Chore małpy niosą zdrowie chorym dzieciom

Prof. Komler w Filadelfii znalazł szczepionkę przeciw paraliżowi dziecięcemu; szczepionka ta sporządzona jest ze rdzenia pacierzowego chorych małp. Szczepionka przeciw paraliżowi dziecięcemu, czyli chorobie Heine-Medina, nie jest jeszcze dotąd znana. Wszelkie dotychczasowe próby sporządzenia takiej szczepionki dały rezultaty negatywne.

Rdzeń pacierzowy chorych małp zawiera niewidzialny zarazek paraliżu, szczepionka sporządzona być może z takiego rdzenia przez zabicie zarazków za pomocą ogrzewania lub dodatku jakiegoś antyseptyku.

Również doskonałe wyniki zapobiegawcze i lecznicze daje surowica ozdrowieńców po tej chorobie zwłaszcza surowica ludzka. Z surowicą małpią wyniki są również dobre. Ostatnio lansują surowicę końską przeciw tej chorobie, jednak ustępuje ona w skuteczności surowicy ludzkiej i małpiej.

Król przestworzy pokonany przez rybę

Na jednej z rzek niemieckich widziano w tych dniach zaciętą walkę orła-rybołowa ze szczupakiem. Szybujący nad rzeką piękny okaz orła opuścił się nagle z szybkością błyskawicy na wodę i wpił nagle z szybkością błyskawicy szpony w dużego szczupaka, po czym, uderzając powietrze szeroko rozwartymi skrzydła mi, usiłował wzbić się w przestrzeń ze swą zdobyczą. Szczupak jednak okazał się tak ciężki i tak mocno opierał się swemu wrogowi, że udaremnił wysiłek orła.

Niemal pół godziny trwała ta rozpaczliwa walka podczas której orzeł starał się wzbić w powietrze a szczupak — dać nurka. Wreszcie szczupak osiągnął przewagę i zanurzył się pod wodę, pociągając za sobą znużonego orła, który nie był już w stanie wydobyć swych szponów z ciała ryby.

Wkrótce potem orzeł i szczupak znów wypłynęli na powierzchnię rzeki, ale już nieżywi. Szczupak wskutek ran zadanych mu szponami orła, a orzeł utopiony przez szczupaka.

Spłata długu

(Nowelka).

— Bartłomieju! Ten człowiek nie żyje! — zawołał baron Ryszard d'Oten zrozpaczonym głosem, nachylając się nad leżącym bez ruchu mężczyzną.

Leśniczy Bartłomiej przyłożył ucho do jego piersi.

— Chyba, że tak, panie baronie — potwierdził prostując się.

— O, mój Boże! Co ja zrobiłem?! — jęknął jego pan.

— Ależ go pan baron trafił celnie!

— Milcz, Bartłomieju! — oburzył się d'Oten, odrzucając ruchem gwałtownym kapelusz pilśniowy na tył czaszki.

Światło księżyca wyjrzawszy nagle z za chmur padło przez szparę w gałęziach na mówiącego. Był to mężczyzna w sile wieku, szpakowaty, barczysty, o szlachetnym wyrazie twarzy.

Co mu strzeliło do głowy dać ognia do tego człowieka?! Ach! Sprowokowano go!... Od dwóch lat zgórą kłusownicy trzebili mu zwierzynę w polach jego i lasach, psując wszystkie polowania. Gniew wrzał w nim oddawna. To też kiedy ujrzał w słabem świetle dość pochmurnej nocy jednego ze szkodników, celującego do dwóch śpiących bażantów, krew zagrała w baronie i strzelił do rabusia.

Wnet jednak opamiętał się.

To niemożliwe!... To niemożliwe!... Nie mogę uwierzyć w to, co się stało, Bartłomieju!... — wołał po fakcie chwytając się za głowę.

— Niestety, panie baronie!... Ale... nie wielka szkoda nieboszczyka! To Plantos, herszt kłusowników i... — jak panu baronowi wiadomo zresztą — zły człowiek w dodatku. Gdybyśmy usiłowali wziąć go żywcem strzelałby do nas niewątpliwie.

— Jestem zabójcą! O, mój Boże!!! Biedny Plantos — rozpaczał d'Oten w dalszym ciągu.

— Niechże pan baron nie ubolewa nad nim! Nie wart tego! — perswadował leśniczy. Po czym nachyliwszy się wziął strzelbę nieboszczyka i dał ognia w gęstwinę.

— Ot i sprawa skończona — dodał kładąc broń na miejsce — pan baron strzelił w obronie swego życia i kwita. Niech pan baron nie martwi się. Cała okolica wie, jakim ptaszkiem był Plantos: zły mąż, zły ojciec i zły sąsiad.

* * *

Od chwili, kiedy baron Ryszard d'Oten zabił kłusownika Plantos w uniesieniu zmienił się do niepoznania. On myśliwy zapalony, przestał fabrykować naboje; flinta jego tkwiła na słupkach stale, a psy nie opuszczały psiarni.

W zamku swym, gdzie przykuty nałogiem myśliwskim, mieszkał samotnie, spędzał teraz bezczynnie dni, całe, ćmiąc fajkę przy wenecekiem oknie wielkiej sali bilardowej z oczyma utkwionymi w lasy okoliczne, majaczące w mgle jesiennej.

Nie miał spowodu śmierci Plantosa żadnych przykrości; leśniczy Bartłomiej pokierowawszy korzystnie dlań sprawę, zjawił się po uchyleniu procesu w zamku.

— Tajemnica ta pójdzie z nami do grobu, nieprawdaż, Bartłomieju? — mówił pan baron wynagradzając go sowicie.

— Niech pan baron będzie spokojny — upewnił go sługa.

Lecz spokój nie wracał do duszy zabójcy. Wyrzuty sumienia dręczyły go po dniach całych i nocach. Gdy idąc przez wieś spotykał wdowę i dzieci Plantosa, odwracał od nich ściągniętą bólem twarz, jakkolwiek wiedział dobrze, iż nie żywiono do niego urazy.

Przeciwnie. Za otrzymane od barona odszkodowanie Plantosowa, nabywszy kawałek gruntu, nie obawiała się nędzy, lecz życie miało o wiele lżejsze, niż przy mężu, ściganym przez żandarmów, przesiadującym w karczmie i nie szczędzącym jej razów za powrotem do domu.

Mimo to Plantos nie schodził z myśli barona. Osoba kłusownika interesowała go. — Mówił przy każdej sposobności o nim. Obliczał wszystkie szkody, wyrządzone przezeń w swojej i sąsiednich kniejach. Dopytywał się o jego zwyczaje i cechy charakteru, doszukując się stron dobrych obok złych.

W rozmowach zaś z leśniczym Bartłomiejem z przerażającą precyzją odtwarzał scenę dokonanego zabójstwa, powtarzając za każdym razem:

— Ach! Mam dług do spłacenia!... Ten dług cięży mi jak kamień na sercu!...

Daremnie przyjaciele usiłowali nakłonić go do brania w polowaniu udziału po dawnemu.

— Nie! Nie wolno mi polować! Mam krew Plantosa na sumieniu — odpowiadał kiwając głową smutnie.

Sąsiedzi współczuli mu spoczątku, później wszakże znudzeni grobową jego miną, zaglądali doń coraz rzadziej, by zostawić go jego losowi wkońcu.

Jesień tymczasem dobiegała końca. Piotruś, starszy syn Plantosa, pojechał do liceum w Poitiers na koszt barona d'Otena; wkrótce potem wdowa kłusownika opuściła wieś, by zamieszkać przy córce, która hojnie wyposażona przez d'Otena, wyszła zamąż za garażystę.

Sezon myśliwski był w całej pełni. Polowania udawały się znakomicie; stróże leśni bowiem kłusowali tylko, by, porozumiawszy się z sobą, zbywać zwierzynę w mieście.

Nagle rozeszła się wieść, że żandarmi znaleźli sidła w lesie Szatelardu, łapki zaś w zagajniku Warresa. Mimo zdwojonej czujności kłusownicy, drwiąc sobie ze wszystkich, grasować jęli na dobre.

Baron d'Oten dowiadywał się o sprawkach ich od Bartłomieja.

— Idziemy dziś na Bekasowe Błota z żandarmami — oświadczył leśniczy pewnego wieczoru — zastaniemy tam jednego z ptaszków napewno. To dość daleko i noc ciemna choć oko wykol. Czy pan baron nie poszedłby z nami?

— Nie, mój Bartłomieju! Skończyłem z polowaniem raz na zawsze.

— Pan baron powinien puścić incydent w niepamięć — wtrącił leśniczy.

Baron d'Oten milczał długo z oczyma utkwionemi w płomień jarzący się na kominku.

— Życzę ci powodzenia, mój Bartłomieju! — odezwał się wreszcie — ciekaw jestem kogo przyłapiecie na gorącym uczynku? Dziś czy jutro schwytacie go niezawodnie... I... spłaci swój dług!... Jeszcze raz.... powodzenia, Bartłomieju! Ja... położę się spać wcześnie!...

* * *

Deszcz mżył. Dwóch żandarmów przemykało si ęprzez gęstwinę leśną w ślad za leśniczym Bartłomiejem ku dużej polanie błotnistej, zw. Bekasowem Błotem przez mieszkańców okolicznych.

— Spieszmy się — mówił leśniczy — żeby któryś z kłusowników nie wyprzedził nas. Zastaniemy jednego z nich, jak amen w pacierzu. Ho! ho! Będzie miał za swoje! Nauczy się w kozie rozumu!

Szli jakiś czas w milczeniu. Nagle leśniczy trącił starszego żandarma w ramię:

— Patrzcie, brygadierze! — szepnął wskazując palcem na stojącego na krawędzi polany mężczyznę, którego czarna sylwetka odcinała się wyraźnie na srebrzystym tle brzóz, jak tarcza strzelnicza.

— Kto? — huknął brygadier wychylając się wraz z towarzyszami z gęstwiny.

Zainterpelowany, jakgdyby czekając na to, podniósł flintę do góry przymierzył się i dał ognia w ich stronę, lecz ładunek broni jego utknął gdzieś w zaroślach. Jednocześnie prawie rozległ się suchy trzask rewolweru żandarma i mężczyzna, stojący na skraju polany, padł na ziemię.

Dwaj żandarmi wraz z leśniczym podbiegli ku niemu.

— Brygadierze! Brygadierze! To niemożliwe! Pan baron! Pan baron!!! O, mój Boże... — krzyknął leśniczy.

Pan d'Oten otworzył oczy.

— Bartłomieju!... — szepnął urywanym głosem poznawszy sługę swego — jak Plantos!... Jak Plantos!... Czekałem długo na tę chwilę... Spłaciłem dług nareszcie!... Wyzwolenie... Bartłomieju! Rozumiesz?... Wyzwolenie przyszło!

I w śmiertelnych drgawkach wyzionął ducha.

J. N.



W ramach „Zielonego Tygodnia" urządzono w sali wystawowej w Berlinie wystawę psów rasowych, podczas której przeprowadzono również pokaz tresury psów. Widoczny na zdjęciu pies rasy owczarskiej jest prawdziwym artystą we wykonywaniu zleceń swego pana.

We Wiedniu zaczynała się ta sama, stara historia. Obsypywano mnie wonnymi biletami i kwiatami, mimo to nie reagowałem na to, bo żadne z tych ciemnych i jasnych oczu, rzucających mi ogniste spojrzenie, nie potrafiło wzniecić płomienia w mym sercu.

Dopiero pewnego pięknego wieczora, zobaczyłem ze sceny w jednej z lóż pierwszego rzędu, kobietę tak zwodniczo piękną, że nawet ja, niepokonany dotychczas, nie mogłem się oprzeć jej urokowi.

Występowałem wtedy w swej najlepszej roli i wiem dobrze, że nigdy dotąd nie śpiewałem z takim uczuciem i nie grałem z taką werwą, jak właśnie w tej chwili ,bo nie śpiewałem wtedy dla wielkiego tłumu, tylko dla tej jednej, jedynej, wybranej z pomiędzy tysięcy! Dla tej, której spojrzenia spoczywały też z zachwytem na mojej postaci, jak to ku wielkiej swej radości spostrzegłem.

Jak lunatyk wracałem tego wieczora do domu, mając bezustannie przed swymi oczyma słodką postać dziewczęcą, słodszą nad nadziemską aureolę.

Z niecierpliwością oczekiwałem powtórnego występu, myśląc, że znowu zobaczę piękną nieznajomą. I nadzieja mnie nie zawiodła.

Była ona w tej samej loży, jeszcze piękniej ubrana, a jej niebieskie oczy spoczywały na mnie z gorętszym wyrazem.

Byłem oszołomiony, szczęśliwy. Pokochałem cudną dziewczynę, nie znając jej stanu ani nazwiska.

Mimo swej tęsknoty nie miałem odwagi wypytywać się o nią. Kochałem ją jak senne mamidło, uwielbiając ją z daleka. Wystarczało mi, że ją mogę widzieć i napawać się jej widokiem. Była ona prawie zawsze w operze, gdy występowałem, w towarzystwie siwego, dystyngowanego starca, albo też starszej, poważnej damy, która musiała być jej matką.

Z czasem i inni zwrócili uwagę na zachwyt, z którym obca dziewczyna patrzała na moją grę i towarzysze moi zaczęli mnie w związku z tym naciągać.

Wtedy dopiero dowiedziałem się o nazwisku tej tajemnie ubóstwianej istoty. Była ona członkiem jednej z najstarszych arystokratycznych rodzin austriackich i odziedziczyła wielki spadek. Rodzice jej już nie żyli, a starszy mężczyzna, który jej często towarzyszył, był jej dziadkiem.

Mimo, że wieści te nie zaskoczyły mnie, to jednak zmartwiły ogromnie. Świadomość, że moja ukochana znajduje się w tak niedostępnych dla mnie wyżynach, zgnębiło mnie okropnie. Posmutniałem, a nastrój ten odbił się i w mojej grze.

Pewnego dnia otrzymałem w tajemniczy sposób bilet, bo znalazłem go na swoim biurku i nie mogłem się w żaden sposób dowiedzieć, skąd się tam wziął i kto go położył.

Nie zapomnę nigdy jego treści. Był on bez napisu i bez podpisu i zawierał tylko jedno zdanie w języku włoskim:

„Jeśli oczy Umberta Gellimiego mówią prawdę i jeśli on ma odwagę wywalczyć sobie swoje szczęście, niech zapuka dziś o północy do bramy domu pod nr. 12-tym przy ulicy Mariahilf".

Błogie uczucie opanowało mnie po przeczytaniu tego bileciku, bo pierwszą moją myślą było, że to moja najmilsza była jego autorką, ale w następnej chwili opanowało mnie znowu zwątpienie. Zdawało mi się niemożliwem, aby osoba z najwyższego towarzystwa, mogła się zdecydować na krok tak awanturniczy.

Z obawą a zarazem nadzieją poszedłem o oznaczonej godzinie na miejsce schadzki. Z trudnością znalazłem numer 12-ty. Był to mały dom, który wydawał się pustym. Zapukałem. Otworzyła mi jakaś starsza, przyzwoicie ubrana kobieta, która miała w ręku świecę.

Poprowadziła mnie przez kilka umeblowanych pokoi, aż wreszcie wskazała mi milczącym ruchem ręki drzwi.

Otworzyłem je lekko i wahająco, ale jakże błogo zrobiło mi się, gdy przy bladem świetle lampy zobaczyłem moją ukochaną, która niespokojnym krokiem chodziła po pokoju. Wydawała mi się piękniejszą niż kiedykolwiek i z okrzykiem podziwu rzuciłem się jej do nóg. Podniosła mnie ze słodkim uśmiechem, a spojrzenie jej było tak obiecujące, że zdobyłem się na odwagę przycisnąć ją do swych piersi i okryć namiętnymi pocałunkami.

Łagodnym ruchem uwolniła się wreszcie z mych objęć i szepnęła mi w ucho:

— Tylko nie tak gwałtownie. Barbara jest w drugim pokoju.

To mówiąc, wskazała mi spuszczoną portierę, aby zaznaczyć, że nie jesteśmy sami. Później dowiedziałem się, że Barbara, stara i szczera służąca hrabianki, umożliwiła swojej ulubienicy te schadzki pod warunkiem, że zawsze będzie obecna przy tym tajemniczym sam na sam. Wierna służąca chciała ustrzec swą panią, ale losy pokrzyżowały dobre jej zamiary.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Arytmogryf historyczny

uł. J. B.

Na miejsce liczb i krzyżyków wstawić litery i utworzyć 8 nazw miejscowości, znanych w dziejach Polski, litery na miejscach krzyżyków, czytane z góry na dół dadzą nazwę miejscowości, słynnej z zwycięstwa Polaków.

		1	2	X	3	4		
	5	6	7	X	8	9	10	
	2	8	10	X	11	12	10	
	13	14	15	X	16	3	4	
	4	17	12	X	6	12	7	
	16	6	5	X	18	19	6	
	4	14	20	X	14	12	10	
21	11	8	6	X	14	15	5	22

Szarada

pod. J. Z.

Pierwsze — wiecie — samogłoska,
drugie — *piąte* jest rzecz włoska
drugie — *trzecie* związek świata,
co niezgody precz wymiata.
Czwarte — *piąte* — rzecz wspaniała —
Stephensona głowa dała.
Odzież Rzymian *czwarte* — *trzecie*,
każdy to wnet zgadnie przecie.
Weźmy *piąte*, — trzecie teraz;
miasto wspominane nieraz.
Pierwsze — *trzecie* — *czwarte* będzie
wykrzyknikiem w imion rzędzie.
Wszystko — zwierzę, jest daleko,
kiedy blaski słońca pieką.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 26 lutego br.

Rozwiązanie zadań z nr. 6 „Moich Powieści": Rozsypanka sylabowa: „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe, a nie w uwiędłych lampów liść, z uporem stroić głowę." Rebusiki: Podłoga, podstołi, nalewka, podlotek, naparstek.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali pp: Kazimiera Litczanka — Bobowo, Janina Stęczniewska — Gorzyce Wielkie, Józef Wróbel — Anin, Włodzimierz Hańć — Kalisz, Anzelma Paponówna — Łuck, S. Witczak — Poznań, Wanda Gogółkówna — Emilianowo, Robert Włodek — Katowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp: Anzelmie Paponównie z Łucka i S. Witczakowi z Poznania.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

PRZEDRUK WZBRONIONY!

Wendenburg nie zdając sobie sprawy z jej stanu, gorącymi pocałunkami okrywał jej twarz i oczy i włosy. Ani on ani ona nie słyszeli, że Bernard i Gabriela weszli przed minutą do pokoju i widzieli, jak Ewa z przymkniętymi oczymą, z głową spoczywającą na piersi Wendenburga, spokojnie przyjmuje jego pieszczoty. Geroldowi pociemniało w oczach, a w uszach rozbrzmiewało niby szydercze echo wyznanie Wendenburga: „Kocham cię całą duszą i będę cię ubóstwiał jako moją żonę...“ Wyznanie, uczynione dziewczynie, którą kochał od lat i w której miłość wzajemną wierzył jak w zbawienie duszy. Coś się w nim załamało raptownie — stracił wiarę w czystość kobiety. Flirtowała z nim, bawiła się jego uczuciem, ale woli zostać żoną milionera Wendenburga niż dorabiającego się inżyniera. Opanował go dziki gniew, jakiego nie czuł nigdy w życiu. Najchętniej byłby ją oderwał od Wendenburga, by jej rzucić w twarz: kłamczyni, nie kochasz go... sprzedajesz się dla majątku!

W okropnym tym wzburzeniu zauważył nagle Gabrielę, która przerażonymi oczyma uczepiwszy się jego ramienia, patrzyła na tamtą czułą parę.

— Tatusiu! — wykrzyknęła nagle, jakby pragnęła spłoszyć przykrą zjawę.

Na głos córki Wendenburg oprzytomniał, gdy Ewa wciąż jeszcze znieruchomiała, spoglądała przed siebie szklanymi oczyma.

Wendenburg pierwszy się opanował i z pewnym zakłopotaniem rzekł do córki:

— Gabi — ty i Gerold byliście świadkami moich zaręczyn z Ewą, która zgodziła się zostać moją żoną.

Słowa te zdawały się budzić Ewę do życia. Zerwała się gwałtownie, wyciągnęła przed siebie ramiona, jakby chciała odepchnąć od siebie coś potwornego. Ale Bernard nieprzytomny z gniewu i bólu, party jedynie żądzą zemsty, ujął pod rękę tulącą się doń Gabrielę i z twarzą śmiertelnie bladą podszedł do Wendenburga.

— Więc i ja korzystam z tak odpowiedniej chwili i proszę pana radcę o rękę panny Gabrieli — rzekł twardo, nie patrząc na Ewę, która rozpaczliwym ruchem chwyciła się za głowę. Bolesne, bezprzytomne spojrzenie pobiegło ku Bernardowi, do którego piersi tuliła się Gabriela, rozpromieniona szczęściem. Ewa zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Wendenburg nie był ją podtrzymał.

— Co ci jest, Ewo? — spytał przerażony.

Rozpaczliwy uśmiech przemknął po jej białych ustach.

— Już dobrze... wszystko dobrze — rzekła bezdźwięcznie i z głębokim westchnieniem osunęła się na sofę. Głowa mnie strasznie boli — wymamrotała. — Muszę się położyć na godzinkę w swoim pokoju — dodała.

Od progu raz jeszcze spojrzała na Gabrielę i Bernarda.

— Dobrze się stało — rzekła zagadkowo, po czym chwiejnym krokiem skierowała się do swego pokoju. Tu zamknęła się na klucz i jak złamana padła na najbliższe krzesło.

— Stało się! — rzekła głośno. — Nie potrzebuję mu już odmawiać. Teraz dopiero rozszalała się w niej rozpacz bezgraniczna, szarpiąc ją do żywego.

W jadalni tymczasem Wendenburg, pragnąc ukryć swe pomieszanie, serdecznie zapewniał Gerolda, że dawno już pragnął go nazwać zięciem, czego się zresztą spodziewał. Gabi oszołomiona własnym szczęściem, zapomniała chwilowo o zaręczynach ojca, tuląc się miłośnie do Bernarda. Nie przeczuwała, co dzieje się w duszy narzeczonego.

Na pół bezwiednie opasał ramieniem wątłą postać dziewczyny, powtarzając raz po raz: „Kochana, maleńka Gabi“, ale wszystkie jego myśli były przy Ewie. Co on zrobił w ślepym bólu i gniewie? Związał swe życie z kobietą, dla której nie czuł nic prócz zwykłej sympatii, gdy cała jego dusza wyrywała się ku innej.

Odtąd życie jego ma być jednym kłamstwem i udawaniem. Ma okazywać miłość, której nie czuje i silić się na chłód wobec tamtej, ukochanej, nadewszystko ukochanej? A w dodatku ma z nią przebywać pod jednym dachem — z nią, z żoną teścia? Czuł, że nie przestanie jej kochać, gdyż ochłonąwszy z pierwszego oburzenia zrozumiał, że Ewa nie mogła działać z niskich pobudek. Poświęciła się po prostu dla szczęścia Gabrieli.

Wezbrało w nim gorące pragnienie cofnięcia tego, co uczynił w bezprzytomnym porywie.

Spojrzał na tulącą się doń Gabi w białej sukience; jej dziecięca twarzyczka o błękitnych oczach, patrzących weń tak błagalnie, przyjęła go żywym współczuciem. Cóż jest winne to dziecko, spoglądające nań z tak bezgraniczną ufnością? Objął ją ramieniem i pocałował w usta.

— Kochana, maleńka Gabi!

— Bernardzie, najdroższy ty, ubóstwiany!

Wendenburg wyszedł z uśmiechem, czując się zgoła zbytecznym.

— Czy cię nie przestraszyłem tymi nagłymi oświadczynami, maleńka? — szeptał Bernard po odejściu Wendenburga.

Zaśmiała się srebrzyście.

— Och nie! Od dawna przecież wiedziałam, że mnie kochasz i nie mogłam się już doczekać tego wyznania. Gdyby nie Ewa, przed którą ciągle się żaliłam z tego powodu, nie wiem doprawdy jak byłabym wytrzymała, że tak długo mnie dręczyłeś, ty niedobry, ukochany.

Przez chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu. Nagle Gabi przypomniała sobie drugą parę narzeczonych i spytała:

— Co powiesz na to, że Ewa zaręczyła się z tatusiem? Przecież jest o tyle starszy od niej. Czy nie wydaje ci się to dziwnym?

— Ojciec twój jest jeszcze bardzo przystojny...

— Tak, tak, ale mimo to nie mogę sobie wyobrazić, by Ewa kochała go tak, jak ja kocham ciebie. A bez miłości nie pojmuję, jak można wyjść zamąż. Wiesz, dotąd uważałam Ewę za doskonałość, taka mi się wydawała szlachetna i dobra i bezinteresowna. A teraz... teraz zaczynam przypuszczać, czy nie wychodzi za tatusia dla kariery.

— Czy uważasz ją za zdolną do takiego wyrachowania?

— Właściwie, to nie. Ale z jakiego powodu zgodziła się wyjść za niego?

— Może z wdzięczności.

Gabriela spojrzała nań zaskoczona.

— Może masz rację. Mimo to... mam do niej żal z tego powodu. Całe szczęście, że mam ciebie i nie będę już musiała biadać przed nią, jak bardzo tęsknię i pragnę twojej miłości.

— Czy tak często przed nią biadałaś z tego powodu?

— Och, codziennie. Musiałam przecież zwierzyć się komuś i mówić o tobie. To też Ewa wie doskonale, jak dawno i jak gorąco kocham ciebie.

Patrzył przed siebie w zadumie.

— I cóż ona mówiła, gdy się jej tak zwierzałaś?

— Och, czasem mnie pocieszała, a czasem pytała, co by zrobiła, gdyby się okazało, że się mylę i że ty mnie nie kochasz. Ale widząc, moje zgnębienie, zawsze mnie po tym uspakajała. Bo ty nie masz pojęcia, jaka ona potrafi być dobra i pełna poświęcenia. Zaczynam też przypuszczać, że istotnie zgodziła się wyjść za tatusia z wdzięczności... Ona

nie była zdolna do chłodnego wyrachowania. Ale tatuś nie powinien przyjąć od niej takiej ofiary.

— Może nie wie o tym. A może go Ewa jednak kocha?

Żywo potrząsnęła główką.

— Nie, nie, w to nie uwierzę. Kocham go niewątpliwie, jak ojca, czy opiekuna, nie inaczej. Ale nie mówmy już o tym. Powiedz mi raczej, czy wiesz, jak ogromnie jestem szczęśliwa, jak bezgranicznie kocham ciebie?

Dalsze wyznania przerwało wejście Wendenburga.

— Sądzę, że najwyższy czas siąść do obiadu. Gabi, zajrzyj do Ewy, czy czuje się lepiej i poproś ją do obiadu.

Za chwileczkę Gabi wróciła sama.

— Ewa ma taki szalony ból głowy, że musiała się położyć — rzekła trochę zasępiona.

Zasiedli do stołu w troje i gdyby nie Gabi, przymilająca się do narzeczonego, nikt nie byłby się domyślił, że przed chwilą odbyły się podwójne zaręczyny. Wendenburg był zgnębiony nagłą niedyspozycją Ewy, a Bernard mimo wysiłku nie mógł oderwać myśli od ukochanej dziewczyny, w samotności przeżywającej teraz straszne katusze.

Ewa spędziła istotnie całą noc bezsennie w najstraszniejszej udręce. Teraz wiedziała już, że Bernard stracony dla niej bezpowrotnie. Ale mimo rozpaczy, jaką przejmował ją ten fakt, bardziej dręczyła ją myśl o wyznaniu Wendenburga. Dreszcz grozy wstrząsnął nią, gdy sobie przypomniała ten jego niespodziewany wybuch namiętności. Przez wszystkie te lata kochała go i czciła jak własnego ojca, znała i należycie oceniała jego dobroć i szlachetność. Ale myśl, że pragnie ją pojąć za żonę, budziła w niej lęk i obrzydzenie.

W duszy postanowiła wyrzec się Bernarda, by nie burzyć szczęścia Gabi, postanowiła złożyć tę ofiarę przez wdzięczność dla swych opiekunów, przez miłość siostrzaną dla Gabi, ale do dalszych poświęceń nie czuła w sobie sił. Żoną Wendenburga zostać nie może — nigdy, przenigdy. Ale tym samem musi też co rychlej opuścić jego dom. Wtedy napisze mu, dlaczego to uczynić musiała. Za nic w świecie nie zdobyłaby się na upokorzenie go w rozmowie ustnej. Dokąd się jednak schroni? Na całym świecie nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić. Po raz pierwszy pomyślała o matce. Wszak na krótki czas może zamieszkać przy niej, zanim znajdzie jakieś zajęcie... Matka jest biedna, ale nie odmówi jej przecież chwilowej gościny. Zwłaszcza, że jej za to zapłaci. Wendenburg dawał jej od czasu do czasu trochę pieniędzy na drobne przyjemności — w ten sposób odłożyła sobie kilkaset marek. Teraz się jej przydadzą. Chodzi tylko o zdobycie adresu matki, o której wiedziała, że mieszka w Berlinie.

* * *

Gabriela siedziała już w towarzystwie ojca przy śniadaniu, gdy weszła Ewa. Wendenburg zerwał się żywo, podszedł ku wchodzącej i spojrzał jej w twarz zaniepokojony. On również źle spędził noc, robiąc sobie wyrzuty, że zbyt nagle zaskoczył Ewę swymi oświadczynami. Postanowił też naprawić zło i czekać, aż dziewczyna się uspokoi i odzyska równowagę.

Przycisnął do ust jej rękę i spojrzał na nią błagalnie.

— Jak się czujesz, Ewuniu?

— Dziękuję, niedyspozycja moja minęła.

— A ja ją spowodowałem. Wybacz, proszę. Za to teraz przyrzekam pozostawić cię w spokoju, byś się zwolna oswoiła z myślą, że nie jesteś już moją pupilką, lecz narzeczoną.

Patrzyła przed siebie w milczeniu, nie mogąc mu na razie powiedzieć, że nigdy nie wyjdzie za niego. Musiała kłamać, by niespostrzeżenie przygotować wszystko do wykonania swego planu. Stanowczo musi opuścić ten dom — im prędzej, tym lepiej, a konieczność ukrywania tego zamiaru i zmuszania się do sztucznego spokoju ciążyła jej straszliwie. Ciemny rumieniec oblał jej twarz na widok Gabrieli, która obserwowała ją z widoczną przykrością.

Siląc się na uśmiech, podeszła do Gabi i podała jej rękę.

— Nie mogłam ci jeszcze pogratulować — rzekła stłumionym głosem. — Z całej duszy życzę ci, byś była szczęśliwą i obdarzyła szczęściem pana Bernarda.

Gabi spojrzała na nią zakłopotana. Najchętniej byłaby się rzuciła w ramiona Ewy, by, jak dawniej, wypowiedzieć jej najtajniejsze swe uczucia. Atoli myśl, że musiałaby też powinszować Ewie, ołowiem przygniatała jej serce.

— Dziękuję — szepnęła, niezdolna do niczego więcej. Ewa spojrzała na nią poważnie i ból dotkliwy ścisnął jej serce. Poświęciła własne szczęście dla szczęścia tego dziecka, a oto jej zapłata. Tym lepiej. Gdyby Gabi była tak serdeczna jak zwykle, ucieczka w domu, w którym spędziła dzieciństwo i młodość, byłaby jeszcze trudniejsza.

Żywą rozmową starali się wszyscy troje rozprószyć ciężki nastrój, lecz wszyscy czuli, że wysiłek to daremny. Wendenburg zaraz po śniadaniu wyszedł do hut. Gabriela, zleciwszy mu pozdrowienie dla Bernarda, wybiegła na werandę, by się wygrzewać w słońcu, a Ewa zabrała się jak zwykle do swych zajęć gospodarczych.

Spełniając je mechanicznie, myślała z lękiem o najbliższym spotkaniu z Bernardem. Serce w niej zamierało na wspomnienie jego pytających oczu, w których kryło się oskarżenie. Czy da jej odczuć swą pogardę?

Załatwiwszy wszystko, wyszła na werandę do Gabrieli, oparła się o balustradę i w milczeniu patrzyła w zieleń ogrodu.

Gabi spoczywała na swym leżaku i nie spojrzała nawet w jej stronę. Teraz dopiero uświadomiła sobie Ewa zmianę, jaka zaszła we wzajemnym ich stosunku. Mała Gabi widzi w niej przyszłą macochę — stąd ten nagły chłód i jakby uraza. Mogła się domyśleć, jakie myśli krążą w tej jasnowłosej główce. Odwróciła się powoli z dużymi poważnymi oczyma, spojrzała głęboko w oczy Gabi.

W tym jej spojrzeniu było tyle cierpienia, że Gabi zaniepokoiła się i zawstydziła. Szybko zerwała się z leżaka, przyskoczyła do niej i objęła ją ramionami.

— Ewuniu... kochana Ewuniu... wybacz. Postąpiłam szkaradnie... ale to na mnie spadło tak nagle... Nie mogę zrozumieć... ty... narzeczoną tatusia...

Ewa zamknęła jej usta pocałunkiem.

— Ani słowa więcej, maleńka — rzekła dawnym swym pieszczotliwym tonem. — Nie trap się ty o swego ojca i o mnie. Myśl tylko o swojem szczęściu i nie pozwól go sobie zmącić żadnym niepokojem. Rozumiem cię doskonale, a jednak proszę, byś mnie kochała jak dotąd. Przekonasz się, że jestem godna twego przywiązania.

Gabi płakała jak dziecko, poczuwając się do winy.

— Przebacz, Ewuniu, postąpiłam szkaradnie. Jestem samolubna i myślę tylko o własnym szczęściu.

Ewa uśmiechnęła się łagodnie i przycisnęła do piersi śliczną główkę skruszonej winowajczyni. Podniosła wzrok ku niebu, a w spojrzeniu tym widniała modlitwa błagalna:

— Niech go tylko uszczęśliwi, a bez skargi zniosę mój ciężki los.

* *

Gdy Bernard przyszedł z Wendenburgiem na obiad, przywitała go sama tylko Gabriela ze srebrzystym śmiechem szczęścia, rzucając mu się w objęcia. Dopiero w parę minut później weszła Ewa, która nie chciała być obecną przy tym powitaniu.

Bernard stał jeszcze obok Gabi, obejmując ją ramieniem. Mimo panowania nad sobą twarz drgnęła kurczowo, a Bernard przeczuwając, że widok ten sprawia jej cierpienie, szybko opuścił ramię, opasujące narzeczoną. Następnie przywitali się jak zwykle, lecz ręka Ewy była jak martwa i żadne z nich nie podniosło oczy przy tym powitaniu. Ewa z trudem tłumiła okrzyk rozpaczy, dławiący ją w gardle.

Podczas obiadu również unikali spojrzeć na siebie. Tylko raz przypadkowo oczy ich spotkały się na błysk sekundy. W jego spojrzeniu było coś uporczywie badawczego, ale jej oczy były szklane i puste, niby zwierciadło duszy umarłej.

Te jej oczy wstrząsnęły nim do głębi. Zrozumiał cały bezmiar jej cierpienia, a skrucha i żal za utraconem szczęściem przyprawiały go o rozpacz. Tymczasem musiał się silić na spokój i zachowywać się jak przystało narzeczonemu.

Wendenburg zamówił już karty, zawiadamiające o ich zaręczynach.

— O naszych zaręczynach uwiadomimy za parę dni — zwrócił się do Ewy. — Sądziłem, że byłoby nietaktownie wysyłać równocześnie obydwa zawiadomienia.

Ewa chciała krzyknąć: Nie jestem twoją narzeczoną, nie będę nią nigdy, lecz ze względu na swój plan postanowiła milczeć. A on wziął to za ciche przyzwolenie.

Rozpoczęły się przygotowania do uroczystości zaręczyn Gabi z Bernardem, a Ewa była zadowolona, że mnóstwo zajęć wypełnia jej czas i pomoże odzyskać równowagę. Z pozornym spokojem omawiała rozmaite szczegóły z Wendenburgiem i Gabi — tylko Bernard nie zabierał głosu. Z tajemną udręką wpatrywał się natomiast w bladą, smutną twarz Ewy. Jego nie potrafi ona zmylić tym pozornym spokojem. Otrząsnął się z przygniatającej go rozpaczy, a w duszy jego dojrzał plan niezłomny: musi, za wszelką cenę musi raz jeszcze rozmówić się z nią bez świadków, musi usłyszeć z jej ust, dlaczego to uczyniła. Musi zdobyć pewność, by móc się pogodzić z koniecznością.

Po obiedzie narzeczeni wyszli do ogrodu, a Ewa odprowadzała ich martwym spojrzeniem. Gdy zniknęli jej z oczu, zwróciła się do Wendenburga:

— Czy nie zechciałbyś mi dać adresu mojej matki? — spytała, siląc się na spokój.

— Na co ci on potrzebny? — odrzekł zdumiony.

Gwałtowne wzruszenie zaciskało jej krtań, niemniej odrzekła spokojnie:

— Chciałabym jej donieść osobiście o ..zmianie w mojem życiu.

Ucałował jej rękę.

— Czy nie lepiej, byś mnie pozostawiła ten obowiązek? Nie chciałbym, byś z nią nawiązała jakikolwiek stosunek.

— Przecież to moja matka — rzekła cicho.

— Czy zapomniałaś, że porzuciła ojca i ciebie?

— Nie, wcale tego nie zapomniałam — z bolesnym uśmiechem odrzekła Ewa. — To też nigdy nie próbowałam się zbliżyć do niej. Ale teraz, bardzo proszę o jej adres.

Wendenburg zawahał się na chwilę, następnie wyrwał kartę z notesu i napisał adres żądany.

— Proszę. Nie chcę ci odmawiać pierwszej prośby, z którą zwracasz się do mnie jako moja narzeczona. Radzę ci jednak, trzymaj się z daleka od tej kobiety. Tyle tylko zyskasz, że dowiedziawszy się, iż jesteś narzeczoną bogatego człowieka, zacznie się zwracać do ciebie o pieniądze. Nigdy ci o tym nie mówiłem i nie mówiłbym też teraz, gdybym się nie poczuwał do obowiązku ostrzeżenia cię przed nią. Wierzaj mi, że nie zasługuje, byś o niej myślała.

Ewa schowała kartkę z adresem, zadowolona, że dopięła celu.

— A może i ona jest bardziej nieszczęśliwą niż występną — rzekła w zadumie. — Gdy ja tu opływałam we wszystko, ona może cierpiała nędzę.

Uśmiechnął się dobrotliwie i pogładził ją po włosach.

— Nie trap się z tego powodu, kochanie. Przez wszystkie te lata starałem się o to, by nie cierpiała nędzy. A teraz postaram się również regulować jej stosunki w ten sposób, by mogła żyć bez troski. Ale nic ponadto. Dlatego jeszcze raz cię proszę, nie pisz ty do niej.

Zagryzła usta i zapatrzyła się w ogród.

— Nie, nie napiszę do niej — rzekła cicho.

Był zadowolony, że odwiódł ją od tego zamiaru, ale Ewa uczuła jeszcze większe zgnębienie. To, co usłyszała o matce, wypowiedziane ogólnikowo, do reszty odjęło jej chęć zwrócenia się do niej chociażby tylko na krótki czas. A jednak nie widziała dla siebie innego wyjścia. Raczej umrzeć w nędzy najstraszniejszej, niż wyjść za mąż bez miłości.

Siedząc obok Wendenburga na tarasie, patrzyła przed siebie wygasłymi oczyma, jakby uciekło z niej wszelkie życie. Obserwował ją z boku; a do duszy jego wpełzł dręczący niepokój. Czy tak wygląda szczęśliwa narzeczona? Przypomniał sobie wczorajszy dzień, chwilę, kiedy nie mogąc hamować dłużej swej namiętności, uczynił jej wyznanie. Nie odmówiła mu, ale znosiła jego pocałunki, wcale ich nie odwzajemniając. A potem zasłabła nagle, ona, tak silna i zdrowa, nigdy nie skarżąca się na żadną niedyspozycję...

Przesłonił oczy dłonią, jakby nie chciał widzieć potwornej rzeczywistości. Może go ona nie kocha, a tylko przez wdzięczność zgodziła się zostać jego żoną. I boi się teraz czekającej ją przyszłości? Nie, takiej ofiary on żądać nie może. Mimo całego ogromu miłości, która go nawiedziła tak późno, nie posunie się do egoizmu. W danym przypadku graniczyłoby to z podłością. Raczej wyrzecze się swego szczęścia, niżby miał ją przykuć do siebie wbrew jej sercu. Zimny dreszcz wstrząsnął nim od stóp do głowy. Uczuł się raptem starym człowiekiem. Czy w ogóle ma prawo wziąć z sobą tę kwitnącą śliczną dziewczynę, gdyby się nawet zgodziła na to?

* * *

W dwa dni później Ewa powolnym krokiem szła przez park. Przywiodło ją tu pragnienie pożegnania na zawsze tego wszystkiego, z czym zrosła się i żyła od dzieciństwa. Potajemnie poczyniła już wszystkie przygotowania do wyjazdu. Najpotrzebniejszą garderobę i bieliznę zapakowała do torby podręcznej. W najbliższych dniach miały się odbyć uroczyste zaręczyny Gabrieli. Było więc całkiem zrozumiałe, że Ewa musiała wyjechać do najbliższego miasteczka w celu zakupienia najrozmaitszych rzeczy potrzebnych do urządzenia wspaniałej uczty. Zdarzyło się to parę razy do roku. Postanowiła tedy skorzystać ze sposobności i po zakupieniu towarów, które odeśle przez stangreta, wyjechać najbliższym pociągiem do Berlina. Przybędzie tam jeszcze przed wieczorem i od razu zajedzie do matki.

Z ciężkim sercem przechodziła teraz jedną aleję po drugiej, przystawała koło miejsc najbardziej przez nią ulubionych, a z oczu jej bezwiednie spływały ciężkie łzy. Szybko je oszukała, by nikt nie domyślił się jej cierpienia. Jeszcze przez dzisiejszy dzień musi zachować spokój — jutro wolno jej będzie płakać do woli — nikt nie będzie się już troszczył o jej łzy.

W głębi parku zatrzymała się i wsparła o pień rozłożystego drzewa. Widać stąd było „willę Annę“, bielą swych murów jaśniejącą poprzez zieleń drzew, które gdzieniegdzie przybierały już złotawo-purpurową barwę jesieni.

Na tarasie siedział wuj Wendenburg z Gabrielą oczekując Bernarda. Może już nadszedł w międzyczasie.

Ciąg dalszy nastąpi.

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

20)

Niebezpieczny Gość

Powieść

W prawdzie brał pod uwagę i tę ostateczność. Roztoczywszy dyskretny nadzór nad mieszkańcami willi „Aurory“ bacznie śledził również Franciszka Leśniczaka; obserwował go z ukrycia, a wyniki tej obserwacji były dla lokaja raczej korzystne.

Tymczasem okazuje się nagle, że właśnie Leśniczak jest winien. — Kazimierz zmarszczył brwi. Więc lokaj intrygował? Lokaj napisał oszczercze anonimy... szpiegował młodą parę... nasłał na Zdzisława Zofię Niewiarowiczównę... wreszcie strzelał do córki swego chlebodawcy?... Ale dlaczego... dlaczego? Czyżby przed tem łączyło go co z panną Krańską?

Dziennikarz odpędził jednak, cisnące się mu do głowy, podejrzliwe myśli. Wprawdzie zdążył zaobserwować, że lokaj zbyt może wymownymi oczyma wodził za panną Krańską, ale równocześnie mógł też stwierdzić, że zawsze względem niej zachowywał się poprawnie. Nigdy między nimi nie było poufałości, co najlepiej świadczyło, że pomiędzy urodziwą dziewczyną, a młodym chłopakiem nie było nigdy nic, coby musiało ukrywać przed okiem ludzkim.

Ale dowody... dowody! Te zabrane przez policję. Wszystkie świadczą przeciw lokajowi. Ukryty w szafie rewolwer, kapelusz porzucony w pospiechu na miejscu usiłowanej zbrodni, chusteczka... Nie, właśnie, że nie! Raczej może być przeciwnie. Chusteczka nie jest własnością lokaja. Napewno nie. Świadczy o tym wyszyty na niej maleńki monogram: „A. R.“ — A. R., to pierwsze litery imienia i nazwiska właściciela. Naprzykład — Alfons Rozwicz...

Więc kto właściwie jest winien?...

Policjanci stanowczo twierdzą, że sprawcą jest nikt inny, tylko Franciszek Leśniczak. Ale policjanci mogą się mylić. Przeprowadzili śledztwo szybko i powierzchownie. Nie wgłębiali się zbyt w sprawę.

Więc?...

Było jeszcze drugie „ale“ a zrodziło się pod wpływem dawniejszych podejrzeń i dzisiejszych obserwacyj osób, w czasie ich zeznań w bibliotece. I to drugie „ale“ miało dla młodego dziennikarza bodaj, że większe znaczenie i zadecydowało, że na nowo począł szczegółowo rozważać wszystkie „za“ i kontra winy lokaja.

Ujawnione przez policje dowody były nicomal druzgocące, ale na pozór tylko. Można je było zbić poważnymi argumentami. Bo na przykład: kapelusz pozostawiony na miejscu zbrodni i rewolwer ukryty w szafie... Czy to dowodzi winy? Jeszcze nie! Kapelusz jest własnością Leśniczaka, ale czy lokaj porzucił go w bibliotece? Mógł to również dobrze uczynić ktoś inny, właściwy zbrodniarz, który przez to pragnął skierować podejrzenie na inną, niewinną osobę, w tym wypadku na młodego lokaja. W tym celu, wykorzystując stosowny moment, skradł przed tem lokajowi kapelusz i po tym celowo porzucił go na miejscu nieudanej zbrodni. Z rewolwerem mogło być to samo. Mógł być podrzucony. Bo gdyby lokaj był sprawcą, to napewno zachowałby się teraz inaczej. Jest młody, zdradziłby się czemkolwiek. Z drugiej strony nie byłby tak naiwny, żeby usuwać ślady stóp pod oknem, a rewolwer przechowywać w niezamkniętej szafie... Ale pozostał inny jeszcze dowód — zarzut postawiony przez Tulczyńskiego: Leśniczak skradał się w nocy obok willi „Aurory“. Dlaczego się skradał? W jakim celu?

— Na to odpowiedzieć może jedynie sam Leśniczak — mruknął dziennikarz, bijąc się z myślami. — Niech wykaże gdzie był, w czasie, kiedy dokonywano zamachu na życie panny Krańskiej. Okoliczności przemawiają przeciw niemu i jeśli nie będzie mógł wykazać swego alibi...

Wykonał ręką znaczący, bezradny gest.

Naraz znieruchomiał. Bowiem w jednym z okien willi ukazała się na moment głowa mężczyzny i zniknęła natychmiast. Kazimierz zdążył jednak ogarnąć ją błyskawicznym spojrzeniem swych sokolich oczu. Oczy te przybrały nagle twardy, stalowy wygląd, a koło ust zarysowały się ostre linie...

Odwrócił się, rzucając wzrokiem na drogę. Od strony miasta zdążał lokaj Franciszek. Szedł prędko, wymachując swobodnie rękoma. Kazimierz wpatrzył się w nadchodzącego, a jednak nadchmurzona twarz rozpogadza się stopniowo.

— Ktokolwiek on jest, dzisiaj jeszcze oddany będzie w ręce sprawiedliwości — wyrzekł, myśląc o zbrodniarzu.

Uśmiechnął się, gdyż przypomniał sobie, że to samo zdanie wypowiedział już dzisiaj na korytarzu. Przed oczy stanęła mu okolona czarnymi lokami, rozpromieniona twarzyczka Ireny Żalowskiej...

Biorąc nagle postanowienie, zawrócił do willi. Na korytarzu natknął się na starszego posterunkowego Janika.

— No i co? — spytał.

— Czekamy na powrót Leśniczaka — odparł uroczyście policjant. — Chcemy go aresztować.

— Nadchodzi właśnie — rzucił obojętnie dziennikarz.

Rozdział XIV

NIEBEZPIECZNY GOŚĆ

Franciszek Leśniczak lekko wskoczył na dość wysoki taras, pospiesznie kierując się do głównych drzwi wejściowych willi „Aurory“. Wbiegł do hallu i naraz przystanął. Zawahał się, ujrzawszy granatowe mundury policjantów.

— Proszę się zbliżyć! — rozkazał ostro aspirant Gromowski, dając równocześnie znak podwładnemu policjantowi, który natychmiast stanął przy drzwiach z rewolwerem w ręku. — Ucieczka jest niemożliwa.

Lokaj stał oszołomiony. Błędnymi oczyma potoczył po marsowych twarzach policjantów i zachmurzonym obliczu dziennikarza, wreszcie jego zdumiony wzrok spoczął na wylocie lufy rewolweru starszego posterunkowego Janika.

— Co... co to jest? — spytał, nie mogąc jeszcze zrozumieć okropnej prawdy. — Co to znaczy?...

— To znaczy, że czekamy na ciebie, panie Leśniczak.

— Na mnie? — wyjąkał.

Aspirant przeszył go ostrym spojrzeniem. Podszedł do chłopaka i ciężko opuścił rękę na jego ramię.

Gdyby piorun spadł z jasnego nieba, nie mógłby sprawić na lokaju większego wrażenia. Zbladł i cofnął się o parę kroków. W jego szeroko rozwartych oczach malował się ogromny przestrach.

— Za co?... Za co? — zdołał zaledwie wybełkotać.

— Jesteś pan podejrzany o dokonanie zamachu na życie panny Krańskiej.

— Ja? — wyrzekł z akcentem tak szczerego oburzenia, że Kazimierz popatrzył na niego uważniej. — Ja podejrzany?... Panowie chyba żartują?

— Bynajmniej.

— Wielki Boże! Czego panowie ode mnie chcecie?

— Usiłowałeś pan zastrzelić pannę Krańską — rzekł sucho aspirant. — Proszę się nie wypierać. Mamy niezbite dowody.

Kroplisty pot wystąpił na czoło Franciszka Leśniczaka.

— Ja... ja jestem niewinny! — zawołał, uderzając się w piersi. — Przysięgam.

Wszedł pan Krański. Wzrok Franciszka Leśniczaka spotkał się z wejrzeniem właściciela willi „Aurory“ i lokaj opuścił oczy.

— Dlaczego to uczyniłeś, Franciszku? — spytał z wyrzutem w głosie pan Krański.

Ten łagodny wyrzut podziałał na lokaja, jakby uderzenie w twarz. Wyprostował się dumnie. Przez twarz przesunęła się mu burza uczuć. I nagle wybuchnął.

— To nieprawda, panie Krański. Nieprawda! — wołał gwałtownie. — I pan... pan także?... Na Boga! Czy ja zmysły tracę! Cóż ja złego uczyniłem? Co wy ode mnie chcecie? Zapewniam was, panowie, że jestem niewinny! To nie ja strzelałem do panny Janiny.

— Proszę zachować się grzecznie — upomniał go aspirant. — Inaczej założymy panu bransoletki... Niewinny! — dodał sarkatycznie. — Każdy zbrodniarz tak mówi. Zresztą winny, czy nie winny, to mnie w tej chwili nic nie obchodzi. Posiadam dowody, na podstawie których zmuszony jestem aresztować pana. A zresztą będzie pan tłumaczył sędziemu śledczemu.

Lokaj popatrzył nań ponuro. Zdołał nieco zapanować nad sobą.

— Jakie ma pan dowody? — spytał głucho.

— Zaraz pan zobaczy i na pewno zmieni pan swoje postępowanie. Panie Janik! Podajcie dowody rzeczowe, jakie udało się nam zdobyć w wyniku dokonanej rewizji.

Policjant podał małą, ręczną walizkę.

— Tu są niezbite dowody — rzekł aspirant, otwierając walizkę. — Czy poznajesz to, panie Leśniczak?

— Mój kapelusz?... — zawołał w najwyższym zdziwieniu lokaj. — Dlaczego pan go zabrał? Przecież znajdował się w moim pokoju.

— O, nie, panie Leśniczak — cedził słowa aspirant. — Widocznie pan naprawdę zapomniał. Ten kapelusz znaleźliśmy leżący na podłodze w bibliotece.

— W bibliotece?... — powtórzył drżącym głosem Franciszek.

— Na miejscu nieudałej zbrodni — dodał oficer policji, sugestionując wzrokiem młodzieńca. — Sprawca był bardzo zdenerwowany i musiał być niedoświadczony w tego rodzaju „robocie". Uciekając w pospiechu zapomniał zabrać własny kapelusz...

— Ależ, to jest mój kapelusz.

— Oczywiście, że pański. Wiemy o tym wszyscy. A ta zabawka, czy też należy do pana? Chyba teraz pan nie zaprzeczy?

Lokaj zbladł na nowo.

— Rewolwer?... — zawołał przerażony, podnosząc w górę drżące ręce. — Nie. Ja nie miałem rewolweru.

— Doskonale! — zaśmiał się szyderczo aspirant. — Nie pański rewolwer? A czyj? I dlaczego pan przechowywał go w swej szafie, he?

— Nie... nie rozumiem pana...

Oficer policji zmarszczył brwi.

— Niech pan przestaje udawać, panie Leśniczak — rzekł szorstko. — Rewolwer ten znaleziono ukryty w pańskiej szafie. A pan wiesz najlepiej, że z tego właśnie rewolweru strzelono do panny Krańskiej.

— Boże! — zawołał osłupiały lokaj. — Prawdaż to, panie Krański? To znaczy.. to znaczy, że niby ja... O, w takim razie to chyba jakaś intryga! Piekielna intryga. Panie komendancie, przysięgam, że to nie mój rewolwer. Nigdy w swej szafie nie przechowywałem żadnej broni...

— Do pioruna! — uniósł się aspirant. — Czy pan sądzi, że jestem tak naiwny i w to uwierzę? Panie Krański — zwrócił się naraz do gospodarza. — Może pan będzie łaskaw przywołać tutaj panów Donieckiego i Tulczyńskiego, dobrze?

Złość go opanowała. Potoczył wokół groźnie oczyma i wreszcie wzrok jego spoczął na podwładnym policjancie. Starszy posterunkowy Janik wyprężył się jak struna, oczekując spodziewanego rozkazu. Ale z ust aspiranta nie padło żadne słowo. Oficer policji przeszedł się nerwowo po halu, kombinując coś w myśli. Na koniec stanął przed przygnębionym lokajem.

— Do mnie należy stwierdzenie gołych faktów — rzekł łagodnie. — Szczegółowe tłumaczenie złoży pan sędziemu śledczemu, który po tym zadecyduje o dalszym pańskim losie. Nie wchodzę w to, co spowodowało pana do tego szalonego czynu. Nie wiem, co było pomiędzy panem, a panną Krańską. Może trochę się domyślam... Hm! Ona młoda i ładna, pan również młody... Działał pan w afekcie, a to jest okoliczność łagodząca. I dlatego radzę panu od razu przyznać się do winy, to będzie dla pana korzystniej... Jak pan chce — dodał, widząc protestujący ruch lokaja. — Niech pan jednak nie sądzi, że to już wszystkie dowody przeciwko panu. Mam jeszcze inne... O, właśnie pan Krański nadchodzi z panem Donieckim i literatem Tulczyńskim. Zaraz zobaczymy mój chłopcze!

— Jesteście panowie? — przywitał wchodzących — dobrze. Ukończyliśmy już śledztwo. Wynik pomyślny. Ujawniliśmy winnego...

— Kto on jest? — spytał nerwowo Tulczyński. — Kto jest winny?...

— Zaraz panowie... Patrzcie! Ten kapelusz, który jest własnością tego tutaj pana — wskazał na lokaja. — znaleźliśmy porzucony w bibliotece. Narzędzie usiłowanej zbrodni — ten oto rewolwer — ukryty był w szafie w pokoju pana Leśniczaka. Czy teraz wiecie panowie, kto jest winny?

Grobowe milczenie było jedyną odpowiedzią.

Aspirant przystąpił do przygnębionego strasznym oskarżeniem, oszołomionego lokaja.

— A teraz jeszcze jedno pytanie: — rzekł nagle. — Gdzie pan był w czasie pomiędzy godziną jedenastą a pierwszą w nocy?

Franciszek drgnął i błyskawicznie uniósł głowę. Spotkały się ich oczy. Surowy i zarazem szyderczy wzrok oficera policji sięgnął do dna jego duszy i tak dalece ją przejął, że chłopak czuł przyspieszone bicie serca i drżenie nóg w kolanach.

— Obecny tutaj pan Tulczyński twierdzi, że widział pana około godziny pierwszej w nocy, skradającego się do willi — ciągnął nieubłaganie aspirant Gromowski. — Czy to prawda.

— Prawda — potwierdził cicho lokaj.

— Zatem pytam się teraz: co pan robił o tak późnej godzinie obok willi? Jaki był cel tej podejrzanej wycieczki? Na pannę Krańską dokonano zamachu około północy... Udowodnij pan, gdzie byłeś o dwunastej w nocy ?

Lokaj popatrzył na mówiącego. Poruszył ramionami i wargami, ale nie wyrzekł ni jednego słowa. Zgnębiony, opuścił głowę na piersi.

— Udowodnij! — powtórzył już groźnie aspirant.

Lokaj jednak milczał.

— Franciszku! — zawołał drżącym głosem pan Krański. — Mów! Powiedz wszystko. Nie wierzę, żebyś ty był tym sprawcą. Powiedz, gdzie byłeś o tak późnej godzinie?

— Powiedz pan, — rzekł milczący dotąd, Kazimierz. — Wykaż pan swoje alibi, a natychmiast będziesz wolny...

Perlisty pot wystąpił na czoło Franciszka. Uczynił rozpaczliwy ruch rękoma, ale milczał w dalszym ciągu.

Dlaczego milczał? Jeśli twierdzi, że jest niewinny, to czemu nie wykaże swego alibi?...

— Dosyć! — zawołał twardo aspirant. — W imieniu prawa aresztuję pana. — Panie Janik — rozkazał — wyprowadzić aresztanta!

— Rozkaz, panie komisarzu!

Policjant przystąpił do lokaja i ujął go za ramię. Franciszek zadrżał. Wyrwał się posterunkowemu. Szalona rozpacz malowała się na jego trupio-bladej twarzy.

— Precz! — krzyknął przytłumionym głosem. — Precz! Jestem niewinny... Na Boga! Nie róbcie mi takiego wstydu... Nie przeżyję tej hańby...

— Spokojnie, spokojnie — zreflektował go policjant. — Założymy tylko bransoletki. Będzie efektowniej.

Zadzwonił kajdankami.

Franciszek spojrzał nań dziko. Zdawało się, że rzuci się na policjanta. W czas opamiętał się jednak. Zacisnął desperacko ręce i z ciężkim westchnieniem opuścił głowę na piersi.

Kazimierz przysunął się do Tulczyńskiego.

— Biedak — rzekł półgłosem, wskazując oczyma aresztowanego. — Żal mi go.

— Hm? — mruknął dyplomatycznie literat, poprawiając na nosie swe duże ciemne okulary.

— Panu lepiej się powodzi — uśmiechnął się tajemniczo dziennikarz. — Mam dla pana pozdrowienie od panny Zofii Niewiarowiczówny...

Literat zadrżał wewnętrznie.

— Cooo? — zawołał przytłumionym głosem.. — Pan...?

Ale Kazimierz już nie słuchał. Pobiegł do odchodzących już policjantów.

Starszy posterunkowy Janik skończył właśnie z nałożeniem na ręce aresztowanego kajdanek i popchnął go w kierunku drzwi. Franciszek chwiejnym krokiem, ze spuszczoną głową podążył ku wyjściu. Miał wygląd skazanego na śmierć. Na progu przystanął jeszcze i odwrócił się. W oczach błyszczały mu łzy.

— Panie — zwrócił się do osłupiałego z wrażenia pana Krańskiego. — Panie, nie wierz pan temu potwornemu oskarżeniu. Jam uczciwy człowiek. Przysięgam, że jestem niewinny zarzuconej mi zbrodni.

Bezsilna rozpacz brzmiała w jego głosie.

W tym właśnie momencie młody dziennikarz podbiegł do policjantów. Kazimierz brwi miał zmarszczone, a w oczach płomienie.

— Stójcie! — wyrzekł z mocą. — Ten człowiek jest rzeczywiście niewinny.

Cisza zapanowała nagle w hallu, że słychać było brzęczenie przelatującej muchy. Wszystkich spojrzenia, nie wyłączając aresztowanego, skierowały się na młodego dziennikarza.

Kazimierz był w tej chwili wspaniały. Nie był to już ten uprzejmy zawsze, pogodny młodzieniec, ale raczej w tym momencie wyglądał na surowego kapłana bogini Temidy. Już nie prosił, ale rozkazywał.

Aspirant Gromowski ochłonął pierwszy. Przyskoczył do dziennikarza.

— Co pan... co pan... — zawołał oburzony. — mnie... mnie będzie nauki...? Przecież zebrane dowody...

— Są nie wystarczające, panie aspirancie — przerwał niezmieszany Kazimierz. — Nie ostoją się pod ogniem ataku obrońcy. Pan sam to musi przyznać. Jest pan fachowcem i długoletnim praktykantem w dzidzinie kryminalogii —, niech pan powie, czy kiedykolwiek spotkał się pan z takim faktem, żeby nieścigany przestępca pozostawił własny kapelusz na miejscu zbrodni? Małą drobnostkę, jak chusteczkę, to owszem, ale żeby kapelusz? Absurd! Gdyby nawet był tak zdenerwowany, że w pospiechu zapomniałby o kapeluszu, to miał potem aż nadto czasu, aby wrócić i go zabrać. A Franciszek Leśniczak miał kilka okazyj, aby to uczynić. Był przecież w bibliotece, kiedy znaleziono zemdloną pannę Krańską. Gdyby on był sprawcą, to pierwszym jego czynem byłoby zabranie kapelusza, na co by w ogólnym zamęcie nikt nawet nie zwrócił uwagi. Ale sprawcą jest ktoś inny. I ten „ktoś" nie zabrał kapelusza, bo nie był jego i przecież umyślnie go porzucił. Zatarł natomiast ślady stóp pod oknem. Dlaczego? Bo to były ślady jego stóp. Sprawca jest przebiegły. I ten sam sprawca, wiedząc, że policja będzie przeprowadzać dochodzenia, miałby przechować narzędzie zbrodni w niezamkniętej szafie? Musiałby chyba być bardzo naiwny i mieć ograniczony umysł. Jednakże całe jego postępowanie wskazuje, że takim nie jest.

Dziennikarz mówił prędko, ale przekonywująco, gestykując żywo.

— Zresztą wiecie panowie, że interesuje się całą sprawą już od kilkunastu dni — ciągnął dalej po małym przestanku. — Znam też pewne fakty, o których nikt z was nie może wiedzieć. Chcąc dojść do poznania sprawcy, trzeba znać podłoże i przyczynę zamachu. Panna Krańska miała jakiegoś wroga, to nie ulega wątpliwości. Przyznam się, że i ja podejrzewałem z początku Leśniczaka. Wiecie, że sprawca już od dłuższego czasu prześladował pannę Krańską. Pisywał nawet oszczercze anonimy. Otóż porównałem charakter pisma anonimów, z pismem Leśniczaka i okazało się jasno, że lokaj nie był autorem anonimów. Autor schował się pod dużo mówiącym pseudonimem „Gość". Już ten sam pseudonim nasunął mi pewne podejrzenia. Po kilku dniach doszedłem do przekonania, że w grę może wchodzić jedynie młody mężczyzna, bardzo zazdrosny, który skrycie kocha pannę Krańską, albo też odpalony konkurent, który szuka zemsty. Dalej doszedłem również do przekonania, że musi to być ktoś znany, mający dostęp do willi „Aurory". Wnet też wpadłem na trop tajemniczego wroga panny Krańskiej. Śledziłem uważnie wszystkie jego poczynania, a nawet raz, pewnej nocy, spotkałem się z nim oko w oko. Zapewniam was, panowie, że sprawca jest bardzo przebiegły, inteligentny i, że starannie przygotował plan tego, co dzisiaj w nocy wykonał. Postarał się też o dowody, które miały od razu pchnąć śledztwo na fałszywy tor. Jeszcze wczoraj wieczorem zaopatrzył się w kapelusz Franciszka Leśniczaka, aby potem rozmyślnie porzucić go na miejscu, nieudałej na szczęście, zbrodni. Tak samo postarał się potem, aby rewolwer znalazł się w pokoju Leśniczaka. I udało się wszystko... Panie aspirancie, aresztowaliście i chcieliście uwięzić niewinnego człowieka, gdy właściwy przestępca pozostałby na wolności.

— Zatem kto jest winny? — wyjąkał oniemiały ze zdumienia aspirant. — Czy wie pan?...

— Oczywiście, że wiem. Jest to wielki łotr, skoro mógł spokojnie patrzeć na bezsilną rozpacz niewinnie aresztowanego człowieka.

Tulczyński roześmiał się, niedowierzająco kiwając głową.

— Mówisz pan — rzekł — jakby ten, rzekomo przez pana znany, sprawca był tutaj obecny. Mów pan, kto on jest?

— Nie mylisz się pan — zapewnił go Kazimierz. — Sprawca jest bardzo blisko. W tej chwili drży wewnętrznie, gdyż zdaje sobie sprawę, że wnet ujrzymy go w kajdankach. Teraz znajduje się nawet wśród nas. A pan znasz go chyba najlepiej, panie li-te-ra-cie!

Z intonacji, z jaką młody dziennikarz wypowiedział ostatnie zdanie, wyczuli wszyscy, że zanosi się na coś niezwykłego.

Tulczyński zerwał się wzburzony. Stanął naprzeciw dziennikarza, przewyższając go wzrostem. Szczepiły się ich spojrzenia, jedno spokojne i wyzywające, drugie groźne, wrogie.

— Pan mnie... będziesz... zarzuty? — wybełkotał zdławionym głosem literat.

Kazimierz wydawał się być wielce zdziwiony.

(Dokończenie nastąpi.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 21 lutego 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Wilna 10.40 Zespół St. Rachonia i L. Szczepańska 12.15 Otwarcie III-go Międzynarodowego Kongresu im. Fryderyka Chopina 13.15 Koncert z okazji 25-letniej działalności Alfreda Stadlera (ze Lwowa) 14.00 „Orkiestra w jednym instrumencie" organy Wurlitzera 14.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Słuch. pt. „Zegarek" Szaniawskiego 17.00 II koncert międzykontynentalny z Argentyny 17.30 Koncert symfoniczny (z Wilna) 19.00 „Jak czytać wiersze" — szkic literacki 19.20 „Neapol i Wenecja" — ojczyzna włoskiej piosenki 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 Utwory fortepianowe A. Skrabina odegra Józef Smidowicz 22.00 Muzyka lekka i taneczna.

Poniedziałek, dnia 22 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka operowa (płyty) 12.50 „Pomyślmy o starych" — pogadanka 15.15 Trio solowe P. R 15.55 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.15 Czy mamy także mówić ortograficznie — odczyt 16.30 Pieśni ludowe orawskie 16.50 Uniwersytet Jagielloński — wszechnica międzynarodowa 17.05 Koncert solistów 17.50 „Platyna" — pogadanka 18.50 „Umowa o dożywocie" — felieton prawno-społeczny 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Echa minionych lat 20.20 10-ty Koncert Ormuzu — Transmisja z konserwatorium 21.30 Laches czyli o męstwie fragment z dialogu Platona 22.00 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 23 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert orkiestry reprezentacyjnej K. P. W. 15.15 Z operetek francuskich (płyty) 16.30 Koncert chóru męskiego „Dzwon" 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.15 Pieśni Marka odśpiewa A. Szlemińska 19.00 „Dyskutujmy": Kino a młodzież 19.20 „Nitra miła Nitra" — audycja muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny. Transmisja z „Romy" 22.30 Od fabryki do powieści — szkic literacki 22.45 Muzyka taneczna z dancingu „Café Club".

Środa, dnia 24 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Mischa Elman (skrzypce) i Walter Gieseking (fortepian) 15.15 Koncert zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej 16.10 Kożucha-kłamczucha — bajka ludowa 16.30 Najnowsze piosenki naszych revellersów (płyty) 17.00 Czego wojsko żąda od społeczeństwa cywilnego — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 „Oszustwo" — feldieton Mariana Eile 19.20 Koncert Oktetu Squire'a (płyty) 20.00 Audycja poświęcona Estonii 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Emila Frey'a 21.30 Premiera słuchowiska „Legenda" Wyspiańskiego 22.15 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Czwartek, dnia 25 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Orkiestra salonowa pod dyr. T. Rydera (z Łodzi) 15.15 Koncert rozrywkowy (płyty) 16.20 Nad albumem znaczków pocztowych — audycja dla dzieci 16.35 Koncert orkiestry Policji Państwowej 17.00 Źródło przestępczości dzieci": — „Zły dom" — odczyt 17.15 Koncert kameralny 19.00 Koncert solistów 19.45 Nocleg w Apeninach — operetka 20.30 Przeszłość i piękno Przemętu — pogadanka 21.00 Sylwetki kompozytorów polskich — Stanisław Nawrocki 21.45 Wileńska orkiestra pod dyr. Wł. Szczepańskiego 23.00 Melodie taneczne (płyty)

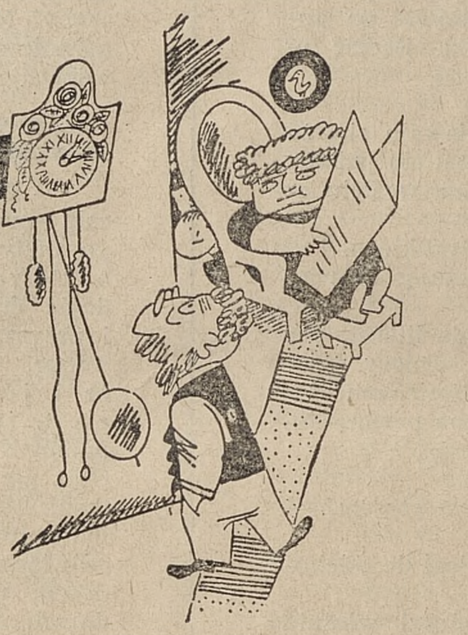
Piątek, dnia 26 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka polska w interpretacji obcych (płyty.) 15.15 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R. 16.30 Muzyka dla dzieci (płyty) 17.00 „Salazar — dyktator Portugalii" — felieton 17.15 Koncert solistów 19.00 „Kłamstwo" — fragment noweli 19.20 Z pieśnią po kraju" 20.15 Koncert symfoniczny — transm. z Filharmonii Warsz. 22.30 „Narkotyk" — skecz Tristana Bernarda 22.45 Muzyka salonowa — gra Mała orkiestra P. R.

Sobota, dnia 27 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Śpiewajmy piosenki 12.03 Koncert orkiestry T. Seredyńskiego — ze Lwowa 14.30 „Awantura o Basię" — słuchowisko dla dzieci 15.15 Saksofon, klarnet i obój — instrumenty solowe (płyty) 16.15 Dawne opery — konc. w wyk. Ork. A. Hermana 17.00 Koncert solistów 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.30 Polska Kapela Ludowa pod dyr. F. Dzierżanowskiego 21.00 Koncert w wyk. Ork. Symfonicznej Polskiego Radia 22.00 „Psychoanaliza" humoreska 22.30 Mała Orkiestra Polskiego Radia.

HUMOR



Zegar spóźnia się o trzy godziny — na pewno dzieci znów się na nim huśtały.

To nie zabawa

— Tadzik! Przecież wiesz, że nie wolno ci bawić się zapałkami!

— Ależ, mamusiu, ja się wcale nie bawię, tylko chcę zapalić papierosa.

Logiczne

— Wiesz, moja droga, pewien pan, którego poznałam, wziął mnie za pannę i nie chciał uwierzyć, żem już mężatką.

— Nic dziwnego. Trudno przecież uwierzyć, żeś mogła znaleźć męża.

Podsłuchane

— Czy tatuś już się ubrał?

— Chyba nie, mamusiu, bo właśnie słyszę, jak rozmawia ze swoim kołnierzykiem.

Wet za wet

Sędzia: Czego sobie życzycie, gospodarzu?

Grzybek: Panie sędzio, mój sąsiad ciężko mnie obraził, więc go muszę skarżyć.

Sędzia: A cóż wam powieddział?

Grzybek: A bodaj cię psy zjadły!

Sędzia: Ależ, to nie jest obraza! Psy zresztą go nie posłuchały i nie zjadły was.

Grzybek: Taaak, to nie jest obraza! To niech pana sędziego także psy zjedzą!

Przyjaciel zwierząt

Tadzio przerażony czyta w zoologicznym ogrodzie następujący napis:

„Karmienie zwierząt wzbronione pod karą".

Przerażony woła do ojca: — Tatusiu, a z czego one właściwie żyją?

Wszyscy się uczą

— Tak, nasz dom jest bardzo muzykalny, moja żona uczy się grać na fortepianie, a córka na skrzypcach.

— A pan czego się uczy?

— Ja — uczę się cierpieć bez skargi.

Przyczyna zerwania zaręczyn

Czemu zerwałeś z narzeczoną, tą nauczycielką?

— Nie mogłem z nią wytrzymać. Ile razy przyszedłem później w odwiedziny, domagała się usprawiedliwienia na piśmie, z podpisem matki.

To co innego

Sędzia: — Dwa lata łowiliście panowie ryby do spółki, a teraz musieliście się o tę właśnie rybę pokłócić?

Skarżący: — Panie sędzio. To właśnie była pierwsza ryba jaką złowiliśmy.

Tanie kupno

— Ile kosztuje próżna flaszka?

— Dziesięć groszy, ale jak pan cośkolwiek weźmie do niej, dajemy darmo.

— W takim razie proszę włożyć do niej korek.

Przesada amerykańska

— Co? W New Yorku panu za dużo kurzu na ulicach? Do Chicago chce się pan przenieść? A czy pan wie, jaką ja w Chicago miałem przygodę z kurzem? Widzę, że na środku najruchliwszej ulicy leży cylinder. Kopię go nogą, patrzę — łysina. Odgrzebuję — sterczy głowa. Co jest?... „Nie, odpowiada głowa — zasypało mnie kurzem". Ładne porządki, mówi. „To jeszcze nic — odpowiada zasypany — przecież ja stoję na dachu zasypany — przecież ja stoję na dachu autobusu".

Przezorne dzieci

— Widzisz, nasza bona tak codziennie po to tylko przychodzi tutaj do parku, ażeby się ze swoim kawalerem zobaczyć. Dzisiaj opowiem to mamie, ażeby później, jak się co stanie, nie było na nas...

Ostatnia nadzieja

Zadłużony złoty młodzieniec.

— Za ostatnie pieniądze kupię los na loterię. Jeżeli wygram, będę się mógł ożenić, jeżeli przegram — muszę się ożenić.

Świetna rewia

W cukierni spotyka się dwu dyrektorów teatrzyków. Rozmowa od razu zeszła na tematy teatralne:

— Zana historia! — rzekł jeden — dziś są pustki. Pamiętam jak to w zeszłym roku w moim teatrze, około tysiąca osób stało przed gmachem i nie mogło się dostać do środka....

— Dawał pan chyba jakąś świetną rewię!

— Żadnej rewii nie dawałem, teatr się palił!

Łapka na myszy

— Po co się ożeniłeś? Czy ja za tobą latałam?

— Moja droga, łapka na myszy za myszami nie biega.

Modna rodzina

Pacjent: — „Siostro, kiedy tu lekarz ordynuje"?

— Pan doktor ordynuje od 2 do 3, pani doktor od 3 do 4, panna doktór od 4 do 5, a młody pan doktor od 5 do 6.

Modna sztuka

— Ach, to nadzwyczajne. Ten obraz wyobraża ul z pszczołami, prawda?

— Nie, kobietę z piegami.

Powód do zadowolenia

— Helenko, czy jesteś zadowolona ze swego narzeczonego?

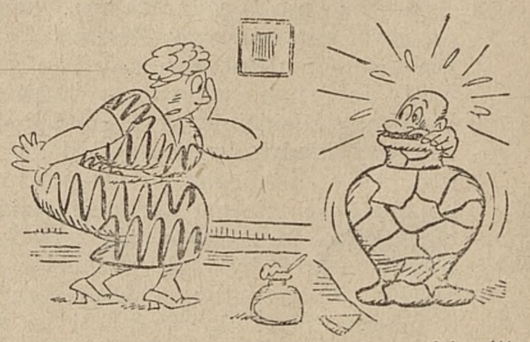
— Nad wyraz! Ma zachwycającego przyjaciela.

Litościwy rzeźnik

— Ale miękkie serce musiał mieć rzeźnik, który zabił tę krowę?

— Dlaczego? — pyta kelner.

— Bo się najmniej dziesięć lat namyślał zanim zadał jej śmiertelny cios!



Naprawiłem wazę, ale teraz nie umiem z niej wyjść.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie